

Ciechoński Józef

PATRYCYUSZ.

Powieść dramatyczna.

PROLOG.

Do koła śniegiem pokryta okolica — białe wszędzie, — białe w mglistą tajemniczą dal, — niebo i ziemia razem, jakby w chaosie, upowite.

Czasem, wśród tego jasnego tumanu szarzeje gdzieś na zlodowaciałej bryle śniegu stado głodnych kruków, lub się pierzchliwy cień przemknie sobola; — cicho, — posepnie, zimno, — martwo. —

Wśród tej ciszy, jakby tchnieniem innych stref — zadrgało mgliste powietrze — i na śnieżnej widnokreśgu fali — zarysowała się, bielsza, jaśniejsza postać, jasnością promienną Niebios. —

To Anioł smutku przeleciał po nad tą krainą. —

Stulił swe skrzydła tęcze i zawisł po nad przepaścią wyrytą w śniegu, czerniejącą się, wśród tego oceanu przestrzeni bez końca. —

Oh! jak smutną zwrócił twarz ku jasności roztoczonej po nad jego głową. —

Z ocz jego promiennych szereg dużych łez spadał ku ziemi, — i błyszczały one na śniegu, jak gwiazdy brylantowem światłem. —

Gdy która z nich upadła w otchłań rozwartą, — to wielka jasność oświecała jej wnijście

— i ztamtąd westchnienia i jęki wychodziły drżące — a on je podnosił i ku niebu po promiennej słał drodze —

A twarz jego zalegał taki wielki smutek, taka wielka boleść, że się do koła czarno — okropnie robiło —

On jeden jaśniał na ciemnej rozpaczliwej przestrzeni — a jaśniał boleścią cierpiącego Anioła

— cierpieniem ludzkości. —

— W końcu rozległ się głos, — podobny do głosu harfy eolskiej i nappełnił całą okolicę drzeniem dźwięcznym, rozkosznym. —

„Panie! Panie! Panie! — Zlituj się nad niemi, — bo oni zbyt cierpią i z łez ich i z ich westchnień i jęków urósł słup boleści — sięgający wrót już

Niebieskich!..... —

W tej chwili — z czarnej otchłani wyszła mglista, smutna postać — i zbliżyła się drżąca

cała ku jasności, jaką roztaczał zesłaniec Niebios. —

„O! Panie — przyjm tę duszę męczeńską!...”

— Rzekł Anioł, ujrawszy tę postać — i otuliwszy ją w fałdach srebrzystej swej szaty,

— zniknął, wraz z nią w jasności bez granic — ...

\* \* \*

— W katorznych robót podziemiach, słycać krzyk i jęk pracujących — milczenie — po nim szelest uderzeń dozorców i hukania rozgłos; — znowu cichy jęk, boleśny, przeciągły — przerywany stukiem motyk i rydlów o głązy we wnętrzościach ziemi.

—  
Pod ciężkimi sklepieniami, nierównie w bryłach ziemi wykutymi, migają drzące czerwone światła latarni, które kołysząc się od przeciągów po dalekich korytarzach, — rzucają przeciągłe odbłyśki po wilgotnych, śniecią porośniętych czeluściach. —

Zimno — i duszno — takie powietrze tym tylko jaskiniom właściwe. —  
Po chropowatych złomach ścian i sklepienia zolbrzymiały chwije się cień, — cień człowieka!... —

W błocie cuchnącem, — na wpół zgniłej słomie, — pod ścianą zwalony na kolanach, — bo przez pas do taczki ciężkiej przykuty, — jedną ręką w błocie się wspiera, — z drugiej wypuścił motykę i ociera czoło z potu, to ją do piersi przykłada —

Starzec: —

— Czy wiekiem — czy pracą i zgniłymi wyziewy schylony? — Czy od łez zapadłe oczy i policzki?...

— Włos srebrny świeci się, w ciemnej przestrzeni, jakby, światłokręgiem cierpienia, od słabych promieni lamp i w długich spada włóknach na schylone barki. —

„Ha, — może to już koniec! — już sił nic nieczuję — oh! ciężko, ciężko, — Witoldzie! — jego tu niema koło mnie! — Witoldzie! — Witoldzie! — Boże mój! miałebym ja sam umierać — bez bratniej ręki — słowa — modlitwy!? — I nikt by nie miał — słów mych ostatnich, mego ostatniego tchnienia, — pożegnania, — zanieść rodzinnej ziemi, — Matce Polsce!... i jej, jej, mojej biednej Jadwidze!... Oh! to zbyt okrutne! — Czyżem Boże niedość za me winy i mych braci wycierpiał — niedość krwi i łez wylał, — tu w tych norach podzie-

mnych, bez światła, — bez nieba!?... Oh! ciężko, — słabo — Panie! Panie! — Miłosierdzia, — przebacz mi, — przebacz mej biednej, skołatanej duszy! — Za chwilę, stanę, przed obliczem Twoim, Panie!...”

— Starzec ciszej mówić począł — zwracając przymglony wzrok swój ku czarnym sklepieniom, — jakby, przez tę grubą skorupę głazu:

— przejrzał niebo z myriadem gwiazd i jasność Pana Zastępów! —

Ręka, którą korząc się w modlitwie, w zbolełe uderzał piersi, usunęła się ku ziemi — i chwila milczenia nastąpiła, — chwila zachwytu

— wiary, miłości bez granic — taka — jaką doznają ci, co już słyszą, — harmonie niebiańskie, wiecznego życia.....—

— I może — dusza jego w zachwycie anielskim wzleciałaby promienna w inne kraje,

— tam! — skąd się wzięła i dokąd całe życie z kału i błota stęskniona się rwała;

— gdyby ją jeszcze na chwilę niewstrzymało silne targnięcie jej wątlých, rozchodzących się już więzów : —

„Cóż to psi synu! — śpisz!? — hej łotry!

— ciągle stać nad wami trzeba! — Wstawaj! — wstawaj ! —”

I biedny, drżący starzec powalił się w błoto od ciężkiego uderzenia drągiem. — Za całą odpowiedź, konwulsyjne chrapanie rozległo się ciche w ciemnościach...

„Co ty! żartujesz!? no wstawaj! — Stary lachu! —”

Ryczał dozorca, — szarpiąc biedne, stare koście, za kołnierz szarej, grubej, aresztanckiej kurtki.

„Na miłość Boską, — Panie oficerze! — Zlituj się nad nim, w nim już tchu nic niema! — on umiera...Ach! Boże mój, Boże — litości! —”

Zawołał (na jęk Starca nadbiegły) młodzieniec, wysoki — piękny — o bladym licu —

i ognistym spojrzeniu, — chwyciwszy za zbrodniczą rękę oprawcy.  
Taczkę, (Iwią), nadludzką siłą, od skrwawionego swego boku oderwał, odrzucił i przykląkł w błocie, podnosząc głowę Starca, przyłożył rękę do serca, — ono jeszcze biło, — słabo, — powoli, — lecz jeszcze żył... —  
„Cóż ty! znowu buntowniku! — knutów

chcesz! — ty łzesz! on udaje, znamy się na tych sztukach!..."  
Uderzywszy kilka razy kijem i po głowie, i po plecach młodego człowieka, wrzeszczał dozorca: —  
„Precz stąd! — niechaj zdycha kiedy chce!... A ty do roboty! —"  
"Panie zlituj się, kilka minut, on umiera, — wszakżeś chrześcjanin, wszakżeś i ty miał ojca! — dziada! — Patrz! on taki stary, — słaby, miej litość, — Bóg ci wynagrodzi!..."  
— Dziwna rzecz! — oprawca umilkł; — ba! prędzej by szatan na dnie piekieł i na dnie wszech złości i nienawiści dałby się ubłagać, rozczulić, niż te narzędzia tortury, okrucieństwa; jednak odwrócił się, — coś szepnął — westchnął — wyjął z kieszeni zegarek, popatrzał: —  
„No, hultaju, pozwalam ci minut dziesięć — pozostać tu, koło Starego! — A za to, że zerwał taczkę, to się później rozprawiemy." —  
I wszedł w głąb ponurych podziemiów — gdzie go równe czekały — łyzy rozpaczy, — jęki, niemocy, boleści — śmierci...—  
„Ojczy Szymonie, — to ja, to twój Witold — przyjaciel — syn... odezwij się! — Oh!

„Boże mój, wielki Boże! — czyżby on już nie żył!?!..."  
— „Wody, — wody" — (szepnął zaledwie dosłyszanie...) Starzec. —  
Młodzieniec się zerwał, skoczył, z kąta izby dostał dzbaną i w usta nawpół otwarte, skąd oddech ciężkiem wychodził chrapaniem, wsączył kilka kropel nawpół z błotem zmieszanej wody...  
Starzec ją przełknął, otworzył oczy przymglone konaniem — i jęknął:  
„To ty Witoldzie? — Dzięki ci dobry Boże!... Nie mam kapłana — mieć go nie mogę, — mam przyjaciela, — słuchaj więc Witoldzie, nie mej spowiedzi, lecz pożegnania, — i — mej prośby ostatniej: —  
— Wiesz kto jestem, — wiesz czem byłem, — wiesz wreszcie, dla czego i za co cierpiałem katusze, życie me całe, nad siły ludzkie.  
— Tak chciał Bóg bym cierpiał dla Ojczyzny, — to też i krzyż mój dźwigałem bez jęku, bez prośby, i bez złorzeczenia!.....  
I te męczarnie, i te katusze lżejszemu by mi były — mniej by mnie bolały, kości spiłowane od kajdan i Knurów, jak sromotna, jak bole mej biednej Ojczyzny. — Nie tak by

mnie — dręczyło gnienie w tych jamach cuchnących, bez promieni i powietrza; gdybym na placu boju schwytyany: — za mą tylko dla wrogów nienawiść i miłość dla kraju, tu był wrzucony, — ale, — być od rodaka zdradzonym! — wydanym — w ręce siepaczy, przez tego, w kim ufność narodu, laurami przodków natchniona była!?!..  
O! to był cios zbyt ciężki — dla duszy, — zbyt okrutna rana w serce — z której jad się sączył lat dwadzieścia i swą goryczą zdwajał, tu, doznawane boleści! — Zapewne, — On — z bohaterów — „hetmanów rodu — wydając mnie, — mnie, „człowieka, wyrosłego z łona ludu, — by mu „przewodniczyć — miłością bez granic — wiarą... „mniemał, — że się ocali niewinnie, poświęcając plebea, — niewiedział, — że ta nowa łodyga — silniejszą była od zbutwiałych starością korzeni, i swym upadkiem wywróci świetny gmach stuletni — i zanurzy w błoto — w hańbę — sromotę,

zgniliznę!..... O! jam go nie przeklinał — niezłorzeczył — lecz płakałem, łzami zdradzonej Matki — Ojczyzny — która czoło jego ze śpiżu — w laury promienne przodków ubrała!..... — Słuchaj Witoldzie! — ty bę-

diesz wolny — i oddychać będziesz ze źrójów Ojczystego nieba — i po łąkach rodzinnych wolnie stapać będziesz — i ścisnąć dłonie rodaków — i ojczystą mowę słyszeć do koła... — tak mi mówi w tej chwili — jasne, prorocze przeczucie; — idę w podwoje innego świata — a więc widzę daleko, naprzód, w przestrzeń czasu przed sobą!... Jak wejdiesz na Polską ziemię — wolny — upadnij czołem ku niej, — ucałuj ją — i powiedz jej: — że Syn jej wierny, Szymon, umierając, dziękował Niebiosom za męczarnie, za śmierć okrutną, w błocie, bez promieni słońca i wiary! — Za cierpienia — z miłości dla Niej, — za cierpienia z jej blizn wydobyte i podzielone...

Tu — Starzec umilkł, — młodzieniec mu podał dzban. —

"Nie — nie chcę wody, — nie mogę, — podnieś mnie Witoldzie — na rękę lewym jest pierścień — zdejm go —"

— Witold podniósł go — zdjął z obezwładnionej ręk i obrączkę ślubną złotą i podał Starcowi. —

Włóż ten pierścień na twój palec — to jest obrączka, którą złączony byłem z Zofią,

— małżonką moją, — Witoldzie, — dwa dni tylko, szczęśliwym byłem — Okrutnicy! trzeciego dnia, z łoża mnie wyciągnęli — i aż tu, w ciemnościach zagrzebali, na wieki!... — Za to zem był człowiek uczciwy i zem kraj mój i wolność nad wszystko ukochał... zaiste dziwna — wielka zbrodnia! oh! i jakaż za nią pomsta!? — Weź ten pierścień synu mój, bracie, — noś go w pamięć mej męki tutaj i przyjaźni dla Ciebie. — Gdy pod ciosem hańby, razów i pracy — ugiąć, słabnąć będziesz, — gdy na ustach z bólu, — z tęsknoty, — z zniechęcenia, — z rozpaczy — słowa złorzeczenia — przekleństwa mieć będziesz: — spojrzij nań — i wspomnij na tego, który przez lat dwadzieścia — cierpiał tu zagrzebany — cierpiał i za cierpienia dziękował Stwórcy! — zhańbiony, — upokorzony — nie szemrał; — kaleczony, — bity, — plugawiony, — umierający z głodu, ze zmęczenia — nie złorzeczył — nie płakał — i kiedy tego chciano, — wrogów ulgi nie prosił...Lecz, gdy będziesz wolny — i gdy będziesz widział w kraju między rodakami, — tam, gdzie tylko szlachetność od przodków

chowana, zamieszkać powinna: — intrygi — niezgodę, - próżność, — pychę, — zdradę, — obłudę. — przedajność, — to — spojrzij nań! -- i oburzony — nie wypieraj się twych niewiernych braci, — a cierp, — znoś i czekaj! — aż przyjdzie chwila odrodzenia! — Ha! wszak i ty z Książęcego rodu! — wszak i w tobie dumna krew, patrycyuszów płynie! — O! to zrzuć z siebie ten łachman spleśniały, zbutwiały purpury, — zdepcz go, — wejdź w serce ludu, — stań się nim, — ukochaj go — miłością Syna Ojczyzny, — wiedź go do chwały, do Wolności — i niech ci on! skroń laurem uwieńczy i twój płaszcz szkarłatny, na ramiona, które Ojczyznę i lud jej wierny z upodlenia poddźwignęły — nazad, — z dawną przodków, przyćmiewającą ich — twoją chwałą — nałoży!...

Lecz, — gdy cię między bracią — ktoś — po tym pierścieniu pozna... o! to go przytul

do serca, — i oddaj mu go z mojem błogosławieństwem, z moją jedyną łzą — za mem jedynem dziecięciem! — Gdzie ona jest, moja Jadwiga? — teraz, nie wiem, — była w Krakowie — tam ją znajdź — moje dziecię! — bądź

jej bratem, — ojcem, — och! jak mi słabo — jak ciemno — to już koniec — męki —

...

żegnam Cię Witoldzie... Matko Polsko...

— Ciężkie westchnienie, przerwało mowę Starca. — W tej chwili zajaśniało światło lampy, dziwnym blaskiem w snującej się, po sędziwej twarzy łzie — i oświeciło martwe, cierpieniem zorane czoło.....

— „Daj mu wieczny odpoczynek Panie!” — szepnął młodzieniec — całując ręce starca — i usunął się na kolana, w błotnistą kałużę — i zakrył bolejące lice, przed nadeszłym żołdactwem, w tej chwili.....

"No cóż, Stary zdrów?!" zapytał dozorca:

Już umarł..." Odpowiedział, smutnym, ponurem młodzian głosem, nie podnosząc z kolan głowę...

No! — wzięść starego psa — kiedy zdechł i zakopać — a ty! paszoł won! — Sto pałek weźmiesz, — żeś taczkę połamał! —"

I odszedł potwór, — a żołdactwo, odrąbawszy na nogach Starca, spójnie, którego lat dwadzieścia z taczką łączyły, — wydrażyło pod nim w błocie dziurę, — i weń ciało martwe, męczeńskie złożyli...

— Odszedł Witold — i znowu cicho — i ciemno — i znowu jęk, szum chłosty i krzyk dozorców, — zdrój łez, — westchnień, — rozpaczy...

„Sanguis Martyrum Semen Christianorum!"\*)...

-----  
\*) Tertulian. I. g.

## OBRAZ I.

### I.

Wśród stepów niknących w siennej oddali widnokregu, — wśród kołyszących się złotą falą łąków, — wśród łąk zielonych — rozsyłających z nad modrego ruczaju — woń kwiatów polnych i siana: — rozściela się wieńcem z wierzb, lip i topoli — piękna i strojna — Ukraińska wieś!

Drewniana cerkiew, w cieniu brzóz płaczących, trzema blaszanymi basznięmi w słońcu się świeci — ponad strzechy wieśniacze i wierzchołki drzew.

W środku wsi, po za płotem z łozy, — na placu karczma, słomą kryta stoi; — naokoło w wierzbach i czeremchach drzemią strzechy wieśniacze, a z poza starych, — zamyślonych cieni lip przegląda dumnie pałac, Pana wsi. —

— Dnia tego — rozruch wielki. — Czy to

święto? — czy wielkie jakieś wesele, lub pożar?... Bo z dzwonnicy, zwołują pośpiesznie, we wszystkie dzwony, lud z całej wsi? —

— Z chat starce, dzieci, kobiety nawpół odziane wybiegają, — z pola i z łąk wieśniacy — rzuciwszy robotę, śpieszą, lecą drogą, ku cerkwi, ku karczmie. — A biedna stara dzwonnica, dopóki osiadła w ziemię, chwieje się, jakby dziwnym, znanym głosem lat dawnych, — ze snu zbudzona i przestraszona, — zdaje się, że się przewali, rozsypie, — i dzwonić przestanie. —

Plac cały, ludem przepełniony, — aż czarno, — a gwar — a krzyk — zdaje się, głos

dzwonów przygłuszać. — Wszyscy się cisną do środka, pod karczmę, a jeden drugiego pyta o przyczynę — tego na gwałt dzwonienia: —  
„Co to? — Co to? — Co się stało?...” — Wtem nagle — dzwony ustały zwoływać — lud przestał krzyczeć — gwarzyć — cisza nastąpiła, jakby czarodziejską wywołana mocą. —  
Głos jeden, dźwięczny, — donośny, — czysty, — wzniósł się ponad tłumem i nakazał milczenie. —  
„Uciszcie się bracia!” — Zawołał głos — i ucichło wszystko do koła. —

W tej chwili z poza tłumy ludzi — ujrano młodzieńca, wysokiej postawy, o pięknym licu, w grubej siermiędze, w wieśniaczym ukraińskim stroju, z odkrytą głową i rozwianymi, długimi na wiatr włosami, — stojącego na wozie. —  
Na około wozu kilkunastu młodych ludzi w kozackich strojach, — uzbrojeni w pistolety, — pałasze, okrzykli go, jakby wieńcem, młodości, — siły, odwagi. —  
„Bracia! — Oto my — przynosimy wam, słowa prawdy! — Słowa bratniej zgody! Miłości! — Wolności! — Słuchajcie nas!...”  
Tu szmer w tłumie, przerwał mowę młodzieńca — niewyraźny — niedonośny — ponury: — wreszcie znów ucichło — młodzian wzniósł znowu głos: —  
— „Bracia! jesteśmy dzieci — jednej Matki Ojczyzny! — jej mleko wspólnieśmy ssali — chleb z jej łanów żyznych od wieków, nasze wspólne, wykarmiał rodziny, — jesteśmy więc synami jednej ziemi, — jednej Matki, — bracią — jednością krwi i kości złączeni!...kochajmy się więc! — sprzyjajmy sobie! — wywalczyliśmy siłami wspólnymi, swobodę! — bo nas wspólny ciężar, niewoli, — nadużyć, —

kajdan — gniecie! — zrzucimy je razem, — a będziemy wolnemi! — wolnemi jak ptacy, — wolnemi jak powietrze, — którym oddychamy — a które nam teraz zatruwa, niewola, — sromota!... Podajcie nam wasze dłonie braterskie! — Potośmy tu do was przybyli...”  
— Tu szmer głośniejszy — mówcy głos przytłumił, — szmer dłużej się przeciągał, — wieśniacy po kilku — kilkunastu z sobą rozprawiali, — to się sprzeczało, — to głową, w znak niedowierzania ruszali. — Wreszcie — z tłumy jeden wystąpił, — podszedł bliżej wozu, rękę podniósł do góry: —  
„Poczekajcie no! ja coś wam powiem! —” rzekł. —  
— Tłum ucichł. —  
Wy mówicie, — że wy Wolność nam przynosicie!? — że wy Bracia nasi!? — może to być: — Nam się wierzyć niechce...”  
Dla czego!?” — przerwał młodzieńiec. — O! bo my wiemy — że się wy zbieracie, lachy — między sobą, przeciw Cara, — bo wam żal poddaństwa! — knutów! — Naszej niewoli — hańby! — Bo wy, lat setki, do tego przywykli — to wam żal teraz naszej swobody.

— A wy nam mówicie, że wolność przynosicie!? — tak! by się razem z wami buntować?  
Co?... My teraz wolni — wolni! — Ziemię mamy i chleb, to nam nic nie trzeba! — Tak! tak! — dobrze Hrehor mówi, — tak! Wam żal pałek — knutów — poddaństwa — pańszczyzny!...”  
Zahuczał tłum cały, — a głosy te wydały się jakby głosem piorunami ciężarnej chmury, gdy burzą ponad głową zawisła. — Echo się cierpkie — szorstkie rozchodziło, — ginąc gdzieś w duszącym, po drodze ciągnącym się kurzu. —  
— Młodzieńiec zbladł. — Niezbladł ze strachu, — lecz z cierpienia, — z boleści wielkiej; — pierś wzniósł się westchnieniem, — oko nieznacznie zapełniła łza, którą siłą woli nazad w siebie wciągnął.

„Uciszcie się, proszę was bracia! — Uciszcie się, słów kilka jeszcze!...”  
I znowu się cicho w tłumie zrobiło. —

"Dla czegoż taka niewiara?! — Dla czegoż tak podle o nas myślicie!? — O! ja wiem! ja czuję! — Wy dobrzy jesteście — dobrzy! Wy Matkę ziemię kochacie, — wybyście i nas kochali — gdyby w wasze serca niewpa-

jano przeciw nam — nienawiści. — O! tak jest! — Lecz pomyślcie, kto wam to mówi?! — kogo do was posyłają?! — Tych, którzy wam ostatni kęs chleba od zgłodniałych dzieci i żon odejmują! — których zjawienie się strachem was przejmuje, — a od głosu dzwonka jego — psy nawet w najdalsze kąty sadyb waszych się kryją... tak! — popi — i czerwone kołnierze — policyantów! — Nam wiercie! — Patrzajcie, jak my do was przychodzimy?! — Serdeczni, z ufnością — jak do braci; w waszych strojach, — waszym językiem do was przemawiamy, — komuż więcej wierzyć będziecie: — im, czy nam!?..."

— Jakże wam wierzyć, przerwał Hrehor, — poprawiając długi spadający wąs, — jak, was mieć za braci, za przyjaciół, — kiedy wy do nas — z pistoletami, z pałaszami przychodzicie!? — Jak tym wierzyć, którzy się nas boją?... i do nas uzbrojeni przychodzą? — Człowiek wolny broni nie lubi! — i z bronią swobody nieogłasza swym braciom!..."

— „O! to prawda! prawda! — Hrehor dobrze mówi, tak, tak, — wy lachy, — kiedy wy do nas z pałaszami przychodzicie!...” — Krzy-

czała tłuszcza ludzi, przystępując coraz bliżej wozu.

— No, kiedy tak! to macie rację! —

— Wasza prawda! — krzyknął młodzieniec. — Zdejmijmy broń! — Może choć wtenczas zechcecie nam uwierzyć!? — I zaczął pierwszy zrzucić z siebie broń. —

— Witoldzie! nierób tego! — przerwał jeden z towarzyszy. — Zatrzymaj się! na miłość Boską! — przerwał drugi. — „Zbyt im ufasz! — Witoldzie! Witoldzie! to niebezpiecznie!...”

"Nie! nie! — tak być musi! — przekonajmy ich, żeśmy prawdziwą ich bracią!...

Zdejmcie broń zaraz! i oddajcie im ją w ręce!...” —

I broń z siebie poczęli zdejmować — i — oddawać ją chłopom, — wkrótce — już byli zupełnie bezbronni. —

„Ha! podle lachy. — Wiązać ich! — mołojce, za mną!” krzyknął Hrehor. —

„Wiązać ich! wiązać! Śmierć im — śmierć lachom przeklętym! —”

Zaryczała tłuszcza głosem okropnym, strasznym i w mgnieniu oka: — mężczyźni, kobiety, dzieci, — wszystko się rzuciło na nie-

szczęśliwych — i w chwili — z młodzieńców, — z tłumu ludzi — ściśnięta, poruszająca się, utworzyła chmura, wydająca przeraźliwe głosy. —

I w hałasie tym — żadnego głosu, rozpoznać niemożna było, krzyku ofiar, — od złorzeczeń i przekleństw tłumu. —

— W końcu rozstała się tłuszcza zduszona, — widać, skończoną już była z bezbronnymi wojna?... O nie! — niedość, że ich powrozami skrepowali, — teraz — na zakurzoną murawę rzędem ich układają — jeden obok drugiego; — a najstarszego zapewne z nich, tego, co do nich przemawiał, — przywiązano do słupa, podpierającego dach karczmy, naprzeciw reszty towarzyszy. —

Hrehor rozpedził cisnącą się tłuszcę i zwoławszy kilku — obdarł ich z odzienia i gdy już nadzy pozostali: —

„No mołojce!” zawołał, „nieście te lachmany do żyda i pijcie wódkę za ich

zdrowie, — „wystarczy dla całej gromady, — ale żeby nie uciekły nam te podłe gadziny, to ich pierwszej do ziemi przykuć trzeba. — Hej, — czy słyszycie?! — bierzcie się gromada!...”  
— W tej chwili chłopci rzucili się tłumem

na płot okalający cerkiew, — drągi dębowe zeń wyjmowali i znieśli je na plac przed Hrehora.

— Znalazły się i siekiery — i w tejże chwili — ostre — śpiczaste koły — w obnażone wbijano piersi, — i na wylot, do ziemi — nieszczęśliwych niemi przybito. —

Z jedenastu, szlachetnych piersi, razem przebitych, rozległ się jęk boleśny, — okropny ryk męczarni; — i rzucił się strumień krwi czerwonej, dymiącej, — a naokoło nich czarna, krzepniejąca w promieniach słońca, rozesała się kałuża. — „Bracia! moi bracia! opamiętajcie się w imię Boga! w imię Zbawiciela — krzyża! co wy robicie!”

Wołał donośnym, rozdzierającym głosem, — uwiązany do słupa, wódz, tej męczeńskiej wyprawy.

„To i mnie zabijcie! — czemuż mnie opuszczacie! Ja chcę z niemi razem umierać!...”

„Przyjdzie i na ciebie kolej! Psi synu — lachu obrzydły, — ty na ostatek — po wódce, — na zakąskę! —”

— Krzyknął Hrehor, — uderzając ściśniętą,

olbrzymią pięścią w twarz Młodzieńca — i wszedł, już się zataczając, do szynkowni. —

— Witoldowi — krew się z ust i nosa połała i dwa zęby, białe — upadły na ziemię i utonęły w krwistej kałuży. —

„— Oh! Boże! Boże!..... Gdzież Ty jesteś, — czyś się schował, — po za dalekich gwiazd promienie!? — żeś od naszej biednej ziemi zwrok Twój odwrócił... Oh! Panie! spojrzysz na te męczarnie okrutne! — Czyż gromów gniewu Twego niezeszlesz i te dzikie, krwiożercze nierozpłoszysz tłuszcze: — bez czucia, bez serca, bez duszy. — O! Panie Wszechbytu! prawie zwątpić o Tobie pragnę, — widząc — te mordy bezkarne — twych dzieci, jedne drugim na pastwę rzuconych!.... A słońce świeci jasno, wesoło, — a niebo bez chmur, błękitne; rozkoszą, życiem tchnie wonnym; — jakby pod jego niebyło sklepieniem — jęków, — rozpaczy, — o pomstę wołających straszliwych zbrodni!... O! ludu, mój ludu Ukraiński! — Co się z tobą stało? — Co się stało z moją wiarą? — nadzieją? — O! ojciec Szymonie! — takeś to mi kazał w twój lud uwierzyć? — nim się stać? — Do chwały go

prowadzić?!... — O! jam się nim był stał, — ja się dla niego zapałem był promiennej przeszłości, mych przodków! — Ja łyż jego niedoli, jak zatruty jad, przeciwko swoim piłam, — jam ciężkie nosił na duszy kajdany jego niewoli, — sromoty; — jam go ukochał, — umiłował — miłością bez granic! — Jam w niego uwierzył, jak się wierzy dziecięciem modlitwie w objęciach matki!.... A on! — swych braci, obrońców, — swych rycerzów, bohaterów krzyżuje i krew ich pije — i nią w oczy dzieciom swym bryzga, na znak nienawiści wiecznej — przekleństwa!... Ojciec Szymonie, — z niego powstałeś, — lecz widać krew w tobie inna płynęła, — nieznałeś ty go! — I ty szlachetny, wzniosły, — ty nim nie byłeś... Ach! — żebyś teraz to mógł zobaczyć; — o! to zanadto! — Boże miej litość nad twym ludem! — O Panie! oni niewiedzą co czynią!....”

I opuścił głowę Młodzieńca i oczy przymknął, nie mogąc znieść nowego, niepojętego okrucieństwa widoku. —

— Kobiety z nożycami — rzuciły się na dogorywających w męczarniach młodzieńców —



i z piersi, z ramion, z brzucha wycinały ciała

długie wstążki — i te szkarłatne krwią bratnią — zawiązywały jako zaścieszki u koszul swych dzieci. — Dawały im w ręce nożyce i świdy, a one je im w oczy, w usta palające boleścią, lub w uszy, na wylot wkręcały... —

W tej chwili — zaturkotał wóz przed karczmę i wysiadł z niego wieśniak stary, z długą, siwą brodą. — Rozwścieklone bezbronnym mordem kobiety rozstały się; — wychodząca już zgraja chłopów z karczmy, skłoniła mu się. —

— „A co to takiego, gromada? —”

Zapytał Starzec, a widać że wielce szanowany i wielkiego być musi u nich znaczenia: bo się przed nim powtórnie tłuszcza skłoniła. —

„A to Ojczy Nestorze, lachów myśmy powiązali — a teraz, ot! z tym się rozprawimy, — to sam watażka!” wskazując na Witolda, rzekł Hrehor. —

Starzec spojrział, — zbliżył się ku niemu i cofnął się zdziwiony: — „Jakto, jego? chcecie zabić?! Nie! nie! ten lach mój! — Ja go sobie biorę, — ja go niedam ruszyć, — on mi żonę i dziecko wyratował od śmierci, — ja go sam naczelnemu odstawię! —

— Zawołał stary, i począł Witolda odwiązywać od słupa.

Z początku cichy, — lecz coraz silniejszy szmer począł się wzmacniać — a nawet klątwa, jedna i druga wyrwała się przeciw staremu i możeby byli mu go wydarli i rozszarpali, jak sępy w kawałki — gdyby — z wrót cerkiewnych — nie ukazała się w długiej szacie do ziemi, — w ogromnych do pasa sięgających włosach rudych i brodzie rozczochranej — postać popa, — dyktatora i ciemicy całego sioła. — „A co to ludzie bezemnie robicie i bez mego błogosławieństwa h'm? — Wy sobie lachów pomordowali, — to nic, — to dobrze, — tylko nie do śmierci, — to za wiarę, — za poddaństwo, — oni wam wolność od Cara odebrać chcą! — Ale zabijając do śmierci prawa nie macie. — No! popakować ich na wozy i tak jak są odstawić do miasta, — to wam gubernator podziękuje, gościńcem obdaruje, i Car na was oko mieć będzie i z podatków i z rekruta was uwolni. — No, marsz, za wozami!

” — A ja wam daję moje błogosławieństwo pasterskie...”

I znakiem miłości najwyższej, — poświęce-

nia, wiary, — znakiem krzyża świętego — przeżegnał tę zziąjaną, — spotniałą, krwią zbroczoną kannibalów pijaną tłuszcze! I odszedł dziki — świętokradzca ku cerkwi nazad i wszedł w podwoje domu Bożego! —

— Wozy nadeszły; — jęczących w męczarniach, — nagie, ze skóry obdarte ciała. — położono jedne na drugich, powrozami do desek przykrępowano, — głowami ku ziemi zwieszono i tak umocowawszy krwawą zdobycz swoją, — siedli wraz z niemi — na nich, — i w cwał po twardej, korzenistej drodze — ruszyli ku miastu po obiecaną nagrodę. —

Z tyłu za niemi wsadziwszy na swój wóz Witolda stary Nestor, powiózł go ich śladem. —

\* \* \*

— Po za szerokim stepem, po nad drogą, — zieleni się gaik brzozowy — i rozwiewa z wiotkich, zamyślonych drzew, świeżą woń dokoła. — Przez sam środek lasku ruczaj czysty, — cichy, płynie — wita po drodze paprocie, smołki, sine dzwonki, — bujne i nieskoszone jeszcze trawy — i ginie, po za laskiem w jeziorze, sitowiem i wodnemi zarosłem liliami. —

— Stary Nestor zwrócił konie z drogi, — w bok, — do lasu wjechał, — minął i ruczaj i załamany nad nim mostek; — drzewa pochylone nad nim szumiały, — jakby witały starego, miłego im druha: — rówieśnika lat, towarzysza jasnych dni, minionej nazawsze młodości... —

Z po za gęstszej cieni drzew — ukazała się słomiana strzecha, a za nią ściany, świeże,

— czyste, — białe, chaty, upowitej w gałęziach starej, mchem porosłej gruszy. — Za nią sad w koralowe, — w złote wiśnie i czereśnie strojny, — a na murawie całe miasto uli, gwarne swą

pracowitą, skrzydlatą ludnością... Ukrainka pasieka! — W ludu fantastycznej wyobraźni, miejsce czarów, gusł i cudów, — a pasiecznik zawsze stary, we czci wszystkich, — zawsze znachor i czarownik. —

Nestor zajechał przed chatę i wysiadł: —

„No Paniczu, — wejdźcie do mojej chatyny, — odpocznijcie, tu was już nieznajdą. — Jaryno! — zwarz no mleka dla Panicza! — i weź no go do chaty.” —

Nestor poprowadził wóz i konie do szopy, a Jaryna, śliczna czarnobrewa Ukrainka, istna czarownica, córka Nestora, — osłabionego,

okrwawionego Witolda wprowadziła do izby i za stół dębowy posadziła. —

„Warn dać wody może? — Wyście zmęczeni, osłabieni?...” Zapytała dziewczka, spoglądając

zpod oka — na tę piękną, bladą twarz — i tę mężką, szlachetną postawę młodzieńca, — upadającego ze wzruszeń ciężkich — bólu i zmęczenia. —

„O! proszę cię dobra Jaryno, — daj mi wody, mam wielkie pragnienie. —” Odparł Witold, biorąc z jej rąk polewany dzban.

— Wszedł i Nestor do izby, niosąc w ręku świtę, buty i czapkę baranią. —

„Ot! macie Paniczu, — wdziejcie to na siebie — boście zbyt obdarci — i tak dalej iść niemożecie; — a to już i noc nadchodzi wielkim krokiem, — a wam wypocząć trochę trzeba i jak najrychlej w drogę, daleko w obce strony ująć wypada. Ja was manowcami przeprowadzę — po za step, sioło, w las daleko, — a tam to jakoś sobie sami poradzicie. —”

— „Jakto? — to wy mnie puszczacie? — do miasta niewieziecie, gdzie was nagroda czeka?... I jeszcze mnie darmo dajecie waszą świtę i obuwie? — Ja wam za nieza-

plącę: bo mnie wszystko już zabrano. — To wy nie tacy jak tamci, co mych powieźli towarzyszków?...”

Pytał zdziwiony i rozczulony Witold. —

„E! — gdzie tam! — ja taki sam jak i oni, — tylko wy mnie wczoraj żonę i dziecko odratowali, — to ja was dzisiaj, — i mnie was żal; — bo i jam był kiedyś młody — tak jak i wy. O! wtenczas to mnie tylko dziewczęta czarownikiem nazywały! — Jaryno, daj-no coś przekąsić, — prędko, — czas już w drogę.”

„Zaraz, zaraz, tat'ku! — Jakże tylko oni pójdą dalej tacy zmęczeni? możeby spoczęli?”

— „Co? już tobie chce się by Panicz tu został na dłużej!? — ej! Jaryno — to nie dla ciebie...” Przerwał Nestor, śmiejąc się i głaszcząc po głowie ładną dziewczynę. —

A matka jak się ma? pójde-no zobaczyć.”

— Otworzył drzwi od alkowy i wszedł — skąd dochodził odgłos chorobliwego, napół z tłumionymi jęki, oddechu. —

— Po ścianach przez maleńkie szybki okien czerwonawe zachodzącego słońca rzucało

się światło, po zczerniałych obrazach świętych porozwieszanych do koła i patrzących z czarnych

ram tak prostodusznie w to życie prostacze, w to życie natury, z dnia na dzień rodzinnej, — cichej — pracy.

\* \* \*

Już szarzało. — W lasku przez szeregi splecione brzoź — przezierało jeszcze w mglistem półcienia złoćące się ponad ciemnym widnokretem niebo, — i oświecało wychodzących z chaty — Witolda i Nestora. —  
— „Bywaj zdrowa Jaryno, — dziękuję Ci za gościnność, — Bóg Wam ją wynagrodzi! — Proszę Cię, przyjm to odemnie w pamięć; — to mi było bardzo drogiem — matki upominkiem, — noś i módl się czasem za mnie i mych biednych towarzyszy.”  
I zdjął Witold z szyi złoty na łańcuszku krzyżyk i powiesił go na białej szyjce Jaryny, — po której długi szereg spadał koraliki. —  
Dziewczyna się uśmiechnęła: — „Dziękuję Wam, — niech Was Bóg od złego chroni!”  
— rzekła, — zaczerwieniła się i oczy spuściła. — A gdy znikli już w cieniach drzew — fartuszką łezkę otarła; — czy się jej tęskno zrobiło za kraśnym młodzieńcem, jak za jakimś,

w dziewic snach złotych, zjawiskiem. — Czy może łąza litości nad losem biednego młodzieńca, — czy też wdzięczności?... Niewiemy; — to tylko pewno, — że Witold w wieśniaczym stroju, czarnej świcie i wysokiej z wstążkami kraśnymi czapce — w zachodu promieniach, blade — wysokie, — ze łązą w oku — mógł być całą rozkochanych dziewcząt pieśnią...

Za laskiem, po za siołem, brzegiem rzeki — mgły się srebrne snują, — a w nich łąki upowite — drzemią; — nocną, wonną do snu kołysane pieśnią. — Po za niemi las dębowy, stary, ciemny, — wabi tych, co przed czujnym okiem skryć się pragną. — Nad nim i nad temi co weń weszli — noc gwiazdzista swój płaszcz tajemniczy rozpostarła. —

„Tu zaraz na prawo — od krzyża, — ot, tam, gdzie się świeci, zaczyna się sioło, to, co to w niem znajomy Wam pan mieszka; — kołowrotu niema, — możecie bezpiecznie się dostać. — Bywajcie zdrowi Paniczu...” — przerwał Nestor, podnosząc rękę do czapki. —

„O! Bywaj zdrow, stary druhu, — wyratowałeś mi życie, — z narażeniem swego, — nakarmiłeś mnie, — napiłeś, — odziałeś: —

„Bóg! za takie uczynki na dzieciach wynagradza — błogosławieństwem, — długich lat szczęściem. — Wyciągnąłeś mnie z za wrót śmierci, — to może też Bóg próśb mych wysłucha, — i da — że ja sam będę mógł Wam, — Waszym dzieciom odpłacić udzielone mi dobro, choćby jeszcze krwią mą własną...”

Pobłogosław mnie na dalszych boleści i zawodów drogę twoją zacną, starą ręką; — ono będzie szczere, proste, przyniesie mi szczęście... Bywaj zdrow, Ojczy Nestorze. —

„Bywajcie zdrowi — niechaj was Hospod' Boh błogosławi! —

— Witold sam pozostał; — długo patrzył za odchodzącym starcem, choć nic nie widział: bo ciemno było do koła. — Stał; — patrzył w stronę, w którą starzec poszedł; to wznosił wzrok swój ku niebu, ku gwiazdom, — jakby w nich wyczytać pragnął — rozwiązanie losu swego i żądź swych tajemnych, zagadki. —

„Ojczy Szymonie! — zgrzeszyłem, — zgrzeszyłem ciężko, — bity, plugawiony, — zwałpiłem o braciach moich, — o ludzie, którego ukochałem duszą, — sercem, —

całem mem jestestwem! — O! ten lud dobry! — ze złota

ulane serce jego — wielkie, — czułe, — kochające, wdzięczne! — lecz schorzałe cuchnącemi wyziewy — niewoli, — więzienia, którem oddycha. — Pójdę dalej, — nie zatrzymam się! — Jeżeli potrzeba mojej krwi jeszcze?! — O! to ją dam, — wyleję do ostatniej kropli, — by w niej obmyć z kału, z błota, z upodlenia wiekowej sromoty ducha, ludu mej Ojczyzny; — łez i krwi, — by jadem swym i rdzą zgryzły spójnie kajdan — niewoli. — O! — to z tych blizn nieustannych w olbrzyma urosła ku nam, — ku braciom swym, nienawiść. — Zrzućmy pęta, — to rany się zagoją — i lud powstanie takim, jakim je na świat Matka ziemia wydała, — w pierwotnym wszech rzeczy początku!..."

— Już gwiazda poranna wysoko na niebie błyszcziała, rozświt zwiastując, — gdy Witold do drzwi dworku, przyjaciela swego, kołatał. —

\* \* \*

— Biedni towarzysze Witolda — zwaleni na kupe, w błocie, przed domem gubernatora, — jęczeli strasznie. — Nad umęczonemi wzno-

siły się toasty za bohaterów dnia tego. — Gubernator kazał muzyce grać przestać, — chcąc się lubować melodyą ich jęków rozpaczliwych — i całował z kolei spotniałą, — zakurzoną, — pijaną, rozpasaną, bratobójczą tłuszcę!...

## OBRAZ II.

### II.

Przez zapuszczoną firankę — przeziera szparą promień jasny słońca, oświeca komnatę obszerną i migocąc się złotym zygzakiem po wysokich jej ścianach, w zielony odzianych adamaszek, uśmiecha się do różnobarwnych kwiatów kobierca, zaścielającego podłogę. — Pod oknem stół zielonym suknem przykryty stoi, — na nim, — pod nim, za nim pełno książek, porozrzucanych papierów, zeszytów, listów: nieład do koła. — Przed stołem fotel ogromny, Voltaire, skórą obity, za nim w rogu komnaty łóżko, w ciężkich aksamitnych upowite firankach; — a naprzeciw stołu, fotelu i łóżka, — na ścianach, po nad drzwiami, do koła porozwieszana broń stara, — hełmy, — tarcze miedziane, dzidy z końskimi ogonami (grzywami) —

pałasze i kilku w dawnych strojach, o dawnych szlachetnych męzkich rysach, z złocistych ram poważnie wyzierających antenatów. — Przy drzwiach u wnijścia, jakby domu strażnik, — stara zbroja rycerska w hełmie, strusiami zdobnym piórami, oparta o halabardę znudzona drzemie: — drzemie, snem dziesięciowiekowej może, promiennej przeszłości. —

— Po komnacie wzdłuż to wszecz przechadza się męczyzna wysoki, — młody, — a przechadza się gwałtownymi ruchy, — znać, trawiony natłokiem myśli, ciężkich,

palących...—

— Rękę przykładła do czoła, — to ją opuści, to znowu szarpnie gwałtownie, zanurzywszy ją w gęste sploty niesforne włosów, okalających wyniosłe jego czoło. — Czoło choć młode, zorane przedwcześnie; — czy ono troską, — czy cierpieniem gore, — czy innych uczuć i żądz gwałtownych chmury na niem osiadły?... — — Oczy dotąd spuszczone wzniosł i w oku tem siwem świat głębin uczucia, niezgruntowanych, nieprzejranych namiętności, — silnej woli rozświetlił się, — oświecając twarz piękną, — zbyt twardą wyrazem, zbyt dumną, zbyt poważną na tak wyraźnie młode lata...

— Chodził po komnacie, — to przystawał koło stołu, brał z niego list, — przeczytywał raz i drugi — i znowu chodził, — szarpiąc się, widocznie z wulkanicznych pasmem żądz się pasując... „O! tak, — zawołał głośno, — o! tak, — ty jesteś wielki, wielki człowiek! — Dumny! — boś szlachetny, — dumny, — boś wart dumy! — i masz z czego ponad gmin się wznosić — i z siebie i z szeregu długich wieków... Ty o mnie niewątpisz, — piszesz do mnie, — żądasz mego współdziałania, — rachujesz na mnie, jak się na człowieka mego rodu rachować należy... O! tak, — masz słusność, — jam twój — sercem i duszą — ciałem ba! imieniem, mieniem całym. — Ja wiem, ty jasnowidzeniem wieszczą, — wielkością ducha twego, tchnieniem praocjów ci przekazanego w spuściznie świętej, — losy kraju twego przepowiadasz! — Ty wielki patrycyuszu, Irydionie, — ty chcesz powstrzymać rozniecony wulkan, w pędzie szalonym, w errupcyi!? — Ha! myśl olbrzymia, wspaniała, — godna ciebie; — lecz któż to wstanie jest zrobić, — czy twój geniusz? czy na twą gwiazdę rachujesz?...

Lecz zapomniałeś o lawie co wsie i miasta, co kraj cały pochłania, co w perzynę obracając wszystko, — krwią bratnią i łzami zlewa dnia każdego krok... Zapomniałeś o nim, o tym drugim... który przyodziawszy się w świetność rodową wielką, — brzemioną sławą zasługi ludowej, okrywszy swą nienawiść ku tobie, swą pychę szatą sprzymierzeńca, kochanka ludu... niweczy tą ślepą potęgą pospółstwa, — niewiarą, — w jednej chwili krwawych prac twoich dzieła... Chcesz mojej pomocy, tu w tym kraju!?... Czy podołam odpowiedzieć tej missyi, — czy zrobię tu co pomiędzy szaloną masą proletaryatu — kommunistów — mazzinistów — socyalistów... gangreny z obcych krajów, — zarazą zaszczepioną na naszą biedną ziemię?...Niewiem — niewiem, lecz się do dzieła biorę zaraz zaraz, natychmiast..." — I począł, jeszcze gwałtowniej chodzić — łamiąc pakę — szarpiąc na sobie odzienie i włosy. — — Wtem drzwi się otworzyły i w hajduckim czarnym z wylotami stroju, wszedł sługa:  
Pan Hrabia Ludwik... czy Xsiazę Pan przyjmuje?" —

— „Proszę prosić," — odpowiedział młodzieniec. — — „Bonjour mon Princel" — zawołał wesoło, wchodząc do pokoju mężczyzna wysoki, chudy, — niemieckiej postaci — niby młody, niby stary; (tak wieku od piętnastu lat do czterdziestu) — podając rękę Xięciu. — — A jak się masz Ludwiku! — wchodzisz do mnie bardzo à propos, — mam listy z Warszawy, — wiecznie jedno i to samo — nic się nie powodzi, — trza wielkiej pracy — by dopiąć wielkich celów, — wielka praca, wielkością dzieła się wynagradza." —

HR. LUDWIK (do siebie).

Toujours, Des sentences!  
(głośno).

„— Już to, nous avons du fil à retordre, — z tą gawiedzią z Warszawy, z Paryża, z czterech stron świata na naszą biedną Galicyą nasyłaną; — Autant de Marrats, — de Robespierres, — d'Henriots... Strach pomyśleć, co wyrabiają! — Jak tu się porywać z motyką na słońce? — Jeszczebym prędzej z dwojga złego wybrał z Febusem robotę; — ten przy-

najmniej palił by w nas ciepłymi promieniami z tyłu, a nie nożami jak ci panowie!...

Qu'en pensez Vous, mon cher Edmond? —"

XIĄŻĘ EDMUND.

„Ja myślę, że robota ciężka; ale od czegoż głowa na karku..."

HR. LUDWIK.

„I pieniądze w kieszeni..."

XIĄŻĘ EDMUND.

„O! z tem, nie tak się daleko zajeżdża jak myślisz... tu innej zdawkowej potrzeba monety, — czy wiesz jakiej? — popularności! — Tamten w Warszawie żeby miał więcej odwagi — zdolności, woli, cuda by z nią dokazał... — Ale, ale! niepytam się ciebie Hrabio kochany, cóżes uczynił przez wczorajszy dzień, — jakże nasz plan, czy robi postępy, — czy widziałes jego? — czy zawsze twardy, — niezłomny!? — pèste soit de l'homme! — Jakich to nam ludzi przysyłają z Warszawy — i z jakimi tytułami!?... Pan komisarz extraordinaryjny!... czyli tłumacząc po polsku lepiej:  
Pan życia, śmierci i — kieszeń naszych. — Lecz to jakiś młokos, — Bóg wie skąd się on wyrwał? — Oh!

ten rząd narodowy z pod tajemniczego zwojów płaszcza swego, okrutną ręką, jakie plagi na swój kraj nasyła, — łotry! szarpią Matkę swoją po kawałku i żarłocznym rzucają bydłom — święte trupa pałające resztki..."

HR. LUDWIK.

„Pas si haut! mon ami pas si haut! — Zapomniales o magnetycznym słuchu cegieł, drzwi i okien!?... To prawda, ta figura wlaźła nam jakby z procy w drogę, tak nie w porę — bruzdzi nam, przeszkadza, bardzo niepotrzebnie, — lecz zamiast się unosić, trzeba pomyśleć, jakby się go pozbyć..."

XIĄŻĘ EDMUND.

„Oh! dobrzeby to było."

HR. LUDWIK.

„Voyons! trouvons un moyen radicale..."

XIĄŻĘ EDMUND.

"I cóż z tego nam przyjdzie, — wszak nie on jeden taki, — ulice zaległy chmurą plugawą, demokratów, demagogów, kommuniatów, — O! ci ludzie, niebezpieczni społeczeństwu!

„— to wrzody kraju — ta miosławszczyzna!... A ty Hrabio, chcesz się pozbyć jego jednego; — wszak na jego miejsce dziesięciu może gorszych z zatrutej wyrosnie łodygi!?...”

HR. LUDWIK.

„Masz słusność, — mauvaise herbe, crois vite; lecz nim tamci wyrosną, — ten nam może właśnie na czas naszego działania zniknie z widowni i przeszkadzać nie będzie. — A my, mam nadzieję, zanim się tamci rozpatrzą, daleko zajedziemy, niedogonią nas, a może i władzę w ręce...”

XIĄŻĘ EDMUND (porywczo):

„Pojmuję — pojmuje, — zapewne dobrze by było, lecz nierozumiem jak go usunąć, — mówiąc twoim narzeczem: jak się go pozbyć? — Bo do sposobów niecznych. tych, pięknej naszej sprawy oprawców, uciekać się nie myślę, — to zbyt haniebne!...”

HR. LUDWIK.

„Jak to? — Co chcesz przez to Edmundzie powiedzieć?...”

XIĄŻĘ EDMUND (z oburzeniem).

„Jużciż, że ani go truć, ani go z tyłu gdzieś na rogu ulicy zabijać nie myślę!?...”

HB. LUDWIK.

„Ach! Mon Dieu, któż o tem myśli. —”

XIĄŻĘ EDMUND.

„Wszakże, radykalne przeciwko temu, lekarstwo tego rodzaju chyba być może? — Ja go nie użyję: bo monopol tych szlachetnych czynności tym panom pozostawiam. — Człowiek ten jednak wielce mi w mych wysokich bruzdzi planach, — psuje, niweczy cały gmach moich zabiegów, — ciężkiej pracy i tych słodkich nadziei... rozumiesz mnie, kochany Hrabio?... to okropnie!...”

HR. LUDWIK (z uśmiechem).

„Nie tak dalece, jak ci się zdaje. — Czy niemożna by trochę śpieszniej uformować ów oddział zbrojny, o którym mówiliśmy onegdaj? — Trochę więcej kosztu, — to się wynagrodzi... jak uważasz, możemy jemu go pod dowództwo powierzyć?... a tam dalej znajdziemy kogo...”

XIĄŻĘ EDMUND (gwałtownie).

„A! a! wyborna myśl, — heroiczna, — młodzieniec pomimo że nędzny proletaryatu wyrostek, — ma jednak, o ile zauważyć mógłęm, zarody odwagi, — porywczosci żołnierskiej; — uchwyci się tego pewnie energicznie, — zapewne zamienia tę głupią ich władzę cywilną, — te pokątne szeptania, — spiski na życie bezbronych i mordy z tyłu, z nienacka, — na otwarty bój. — Wiesz co Hrabio!? — mów — co chcesz, ja w ostatnim wyrodku chłopstwa jeszcze, w młodość, w młodą duszę, w młode serce, wierzę!... Ale, ale, — o esencji rzeczy, — ale ten ktoś, — to sęk trudny?...”

HR. LUDWIK.

„J'ai mon homme! — pod ręką.”

XIĄŻĘ EDMUND.

„Któż taki? — czy pewny? — i jaką mu funkcją przeznaczasz?...”

HR. LUDWIK.

„Jaką funkcją? — krótko, węzłowato: — „wepchnie go w wir szalony boju, w prąd ma-

rzeń o zwycięztwach, a później... Ale o tem potem, c'est mon affaire, — zostaw mi to — i młodzieńca o czarnem oku, jak kochance, powierz mnie, en toute confiance; — ja wiem, co z nim zrobić mam, aby nam niezawadzał. — Quand à l'individu, to ten mały Stefan Berkowski; — wiesz, com ci o nim mówił: une tête félée, ale ambitny, pełen żądz wywyższenia się nad drugich, — jakim by niebyło sposobem, — przy tem zawistny — et un pauvre diable comme Job! — Ja tę piekielną naturę zbadałem, — Jonathan by zbladł, — przy tej chytrej, nikczemnej, próżnej duszy; a z takich ludzi robić co mi się podoba, — „c'est aussi mon affaire; a do tego ma on u nich wielkie wzięcie, — nawet znaczenie. — Odpowiadam za niego, — trochę pieniędzy, — obietnic resztę — i...”

XIAŻĘ EDMUND.

“— Gdzież on jest? — Wartoby zaraz wziąć się do dzieła, — battre le fer tant qu'il est chaud, — kochany Hrabio do roboty!...”

HR. LUDWIK.

“Gdy to zrobimy, — wtenczas w wiado-

mym celu zapory mieć niebędziemy. Jutro ci tego Stefana przyprowadzę; — nous ferons nos conditions: — ha, ha, ha...”

SŁUŻĄCY (głośno).

„Pan Witold Topór!” —

XIAŻĘ EDMUND (z cicha)

„A! Voilà notre bête noire, — o wilku mowa...

(głośniej)

„Przyjąć! — prosić!” —

(Witold wchodzi; — Xiążę wychodzi naprzeciw niego, — podaje mu rękę:) —

XIAŻĘ EDMUND.

„A! jakże mi przyjemnie, — widzieć Pana, — czy też się godzi tak mnie zaniedbać, porzucić; — niewierzysz Pan jak mi było przykro.”

WITOLD.

„Mości Xiążę, — przepraszam, — niemogłem, moje zajęcia, — nawał pracy, wszak Xięciu wiadomo, tak ciężkiej, — wreszcie niedawno byłem. —”

XIAŻĘ EDMUND.

„Jakto, pozawczoraj? — Kochany Panie, ja Go życzę sobie z serca codziennie widzieć w mym domu, u mego stołu, — jako szczerego przyjaciela...”

WITOLD.

„Niewiem prawdziwie, czem mogłem zasłużyć na podobnie zaszczycające mnie względy?”



XIĄŻĘ EDMUND.

„Jak to? Zapominasz Pan o swych publicznych zasługach? — Czyż dla wszystkich pracując dzień i noc, poświęcając się dla ogółu, nie czynisz Pan tego dla mnie; czyż ja nie stanowią — choć najmniejszej, najlichszej cząstki tego narodu, którego sprawę takeś ukochał i nad jego losami z taką genialną wytrwałością pracujesz?...”

WITOLD.

„Pochwały Mości Xiążę, nad me zasługi, nad me zdolności, — nie wart jestem tego, — nic jeszcze nie zrobiłem i czuję już, że upa-

dam pod niemocą czynienia tak, jakbym tego w głębi duszy mojej chciał...”

XIĄŻĘ EDMUND (przerywając)

„A, — a, panowie się nieznacie!? — Pan Hrabia Ludwik, — Pan Witold Toporek. —”

WITOLD.

„Topór. -”

XIĄŻĘ EDMUND (kłaniając się).

„Przepraszam, — przepraszam, Pan Topór. —”

HR. LUDWIK.

„Właśnie przed chwilą mówiliśmy o Panu, — bo choć nie miałem przyjemności znać Go, — tyłem o nim słyszał, — tyłem go z czynów jego cenił: że właśnie w jednym wielkim zamiarze Xięciu mówiłem o Panu Toporze, jako o człowieku, jedynym, wyjątkowym, do spełnienia wysokiej, bohaterskiej jednej missyi. —”

WITOLD.

„Zbytek łaski Panie Hrabio. — Lecz czy mogę zapytać, co to za zamiary, — w których mi Panowie tak ważną rolę zamyślacie dać odegrać? —”

XIĄŻĘ EDMUND.

„Miły Panie, bardzo słusznie, wnet go objaśnię. — Znając Cię, z góry prorokuję, że myśl ci się nasza podoba, — otóż: my, widząc upadek naszych działań — rycerskich i dyplomatycznych, — widząc do tego ze wszech stron hańbę, wstyd, sromotę, błotem bryzgającą imieniowi Polaka, — przez uciekające tłuszcze powstańców, — uciekające, jakby stada cieląt, — lub zajęcy, — przed garstką pijaną bezdusznego żołdactwa... zamyślamy, — dokładając naszych kosztów i środków narodowych, w naszych zostających rękach, utworzyć butny oddział, młodzieży wyborowej z czoła narodu, — którzy by jak rycerze Leonidasa, — po spartańsku, choć zbyt słabi, by kraj ocalić garstką walecznych, — to przynajmniej, nadwreżony honor narodu, — w dawną promienną gloriolę odwagi, poświęcenia, — męztwa na nowo, w oczach zdumionego świata przyodziali! — Czy pojmujesz mnie Panie?... Otóż...”

WITOLD (przerywając z zapalem).

„O! tak — tak! — Niech zginą do osta-

tniego, — lecz niech nie uciekają — bezczelnie, — nikczemnie!...”

HR. LUDWIK.

"A tym Leonidasem — w marzeniach serc naszych — Ciebie mianowaliśmy Panie, — czy przyjąłbyś?..."

WITOLD.

"Czy przyjąłbym!? — Czy przyjąłbym!? — Czy Panowie mi ubliżać, czy śmiać się ze mnie chcecie? — Ja, czy bym przyjął? ja!?... Ha! — toć to marzeniem życia mego całego! — Jakto, czy przyjąć hufiec młodzieży odważnej, hufiec serc tętniących miłością bez granic — wiarą! — by go do boju za Ojczyznę i Wolność prowadzić!? — Prowadzić i albo niewrócić i zgiąć, lub z chwałą zwyciężyć i światu okazać, że jeszcze silnie tętni w sercu Polaka męstwo! odwaga! miłość wolności!... Ja o tem śniłem jak o raj, w nocy nieustannej katorżnych podziemiów! — Oh! toć to jest marzeniem mej młodości. — mych żądz najskrytszych, — toć byłoby ideałem, szczytem

„szczęścia mego, choć by go zmyć posoką braci i mem ostatniem tchnieniem... O! — przyjmę! przyjmę! na kolanach przyjmuję!..."

XIĄŻĘ EDMUND.

„Młodzieńcze, jesteś mężnym jak Zawisza! — na Ciebie więc rachujemy."

WITOLD (rozzewniony, podając rękę Xięciu).

„O! Dziękuję, dziękuję! — jeżeli zginę — to po śmierci duch wam mój, z nieśmiertelnej przestrzeni, dziękować będzie..."

HR. LUDWIK.

„Wszak ci mówiłem Edmundzie, że to jest najodważniejszy człowiek w Polsce!..." —

XIĄŻĘ EDMUND.

"Wszak niewątpilem.—"

WITOLD.

„Panowie, — serce mi pęka z radości, jednak oddalić się muszę, bo czas mię nagli i naglą sprawy na mnie włożone, — oto, zwój papierów z rządu narodowego, otrzymano dla

Ciebie Mości Xiążę, zechciej je przejrzeć i uwiadomić mnie, co w tem względzie decydujesz robić. — A teraz, oczekując jak zbawienia chwili spełnienia szlachetnego zamiaru: Żegnam Panów..."

XIĄŻĘ EDMUND.

„Może choć trochę później — na obiad do mnie?..."

WITOLD (kłaniając się).

„Wdzięczny wielce jestem, — nie mogę.—

HR. LUDWIK (do siebie).

„Hardy szlachetka. —"

(głośno).

„Do widzenia się więc!" —

(Xiążę Edmund i Witold podają sobie ręce. kłaniają się, Witold wychodzi. Hrabia Ludwik i Xiążę sami, spojierają na siebie)

XIĄŻĘ EDMUND.

„Hrabio! jesteś Machiavel, — Talleyrand, — Metternich' en personne!... Wystawię Ci pomnik, en papier maché! — Ha, ha, ha, ha, ha...”

SŁUŻĄCY (u drzwi).

„Xiężna Pani — czeka.” —

XIĄŻĘ EDMUND.

„Służę Ci na śniadanie.” —

(Wychodzą).

### OBRAZ III.

#### III.

Długi cień wieczoru zstąpił z gwiazd wysokich i rozesał się cichą mgłą po nad siną Wisłą, po nad rozmarzonymi jej brzegów wzgórzami. —

— Po za rzeką, po za Wisłą gwarzy w cieniach nocy upowity, w zwojach wonnych sadów, szeregiem piętrzących się świątyń, murów, zwalisk, zgrzybiały gród Krakusa. —

— Po nad nim zawisa drżąca, cicha, — jękliwa pieśń przeszłości...

— W splecionej ulic sieci, w ogródku domek mały drzemie. — Do koła malwy, róże, bzy i jaśminy do snu w brylantową rosę ustroiły swe wonne kwiecie. Na świętojańskich ro-

baczków, ludność całą, cichy wiatr wieczoru balsamicznym tchnieniem strącał rosę kryształową i odbiciem gwiazd promiennem, w pryzmata tęczowe ustrajał rozkochane traw mieszkańce. —

— Nad tem wszystkim — tajemnicze cienie przesuwają się milczące wśród ciszy. —

— Z poza gęstych zwojów dzikiego bluszczu, z poza powoju, kwiecistych wieńców, pnących się po filarach krużganku — słyhać jakby pluskiem fal niesionej piosnki, szmer, wpółgłośny — drżący — tłumiony, westchnień częstych tchnieniem — może łkaniem — łzami może...”

„Bywaj więc zdrowa duszą ukochana, — w złotych snach mych, młodzieńczych wyśniona Bohdanko, — bywaj więc zdrowa, nadziejo mych marzeń, — łez, cierpień, — mych trudów ciężkich, bolesnych!... Myśl o mnie w Modlitwie, — myśl o mnie przed tronem Bogarodzicy!... Myśl o mnie w twych snach dziewiczych, (przezystych), — bo może snem tylko, marzeniem, błyskawicy lotem, będzie nam to życie..... Może nam życie miłości, poza grobem zaświta, — może, wędzeni rozkochanych dusz jasnowiedzeniem

w przestrzeni gwiazdzistej bez granic — znajdziemy tam! u wrót wieczności, to

szczęście,  
które nam tutaj los cierpki zagradza..."  
O! Witoldzie, chciałeś powiedzieć, rany i łyzy Ojczyzny zagradzają...O! ja wiem,  
ja czuję, my się zobaczymy, — o! ja Cię ujrzę zbrozonego krwią ciemieżców,  
katów, — z laurem zwycięstwa, na twojej pięknej, szlachetnej głowie. — O! idź,  
idź! w imię Matki Polski idź! — a jeżeli zginiesz, polegniesz śmiercią  
bohaterów, — to i ja umrę, — to mnie u wrót wieczności czekaj; — o! ja się  
pośpieszę, niespóźnię, — by w objęciach naszej miłości zniknąć w nieśmiertelnej  
przestrzeni, —  
nazawsze, — na wieki!...Witoldzie! — luby mój, — ty mój rycerzu — kochanku! —  
weź ten pierścień ojca mego, który mi oddałeś nazad, — noś go w zakład mej  
miłości, — twych przysiąg, — twych bohaterskich przyrzeczeń!... Wolę — prośbę  
umierającego ojca spełniłeś: — znalazłeś mnie, — stałeś mi się ojcem, bratem, —  
więcej — kochankiem! sierotę do serca przytulileś, — do życia wywołałeś, dając  
jej swe serce, życie, — za to On! z umęczonych na ziemi, niebiańskiej

Ojczyzny, — spoziera ku tobie i... błogosławi. — Teraz idź spełnić wolę  
umierającego, jak pies, w cuchnącej norze podziemnej, — w hańbie, — w błocie, w  
kajdanach Polaka! — idź spełnić wielkie posłannictwo, — jękiem, — konaniem  
narodu, z ostatnim tchnieniem Starca, na Ciebie włożonego!..... Idź,  
przewodniczyć ludowi, — który za tobą już woła!..."  
„— Idę! idę, poprowadzę go do wolności lub do śmierci, — i sam z nim zginę,  
jeżeli jeszcze więcej całopalnych ofiar na ołtarz Ojczyzny, Wszechstworcy  
potrzeba!... Jadwigo, — lecz gdy zwyciężę... o! wtenczas schowamy się od ludzi,  
od świata, — tam! gdzieś w góry, — w Karpaty, skąd na Polskę, na Wisłę spoglądać  
będziem mogli... i będziemy żyć tylko — pieśnią, — miłością; — oh! miłością, o  
jakiej ludzie zwykli nie wiedzą, — nie marzą, — miłością, we krwi wrogów  
skąpaną, — miłością, uświęconą dziękczynieniem narodu, — hymnem wolności, w  
ustach ludu, zdjętego z Krzyża długiej męki, — sromoty...Co za marzenie!....  
Jadwigo, — takiego szczęścia — przeżyć trudno, — takiego szczę-

ścia na ziemi, Bóg śmiertelnym — uczuć, doznać niepozwała, boby przed nim  
zbladły — raju, nieba! — obietnice..."  
„Witoldzie! — Witoldzie...  
„Jadwigo! — żegnam cię!..."  
— W tej chwili po nad mgły i cienie księżyc się podniósł i obalił srebrnym  
promieniem, po ścianie z bluszczu i powoju, długie cienie dziewicy i młodziana.  
— Ona blada, w czerni cała, utuliła wiotką kibić, w mężną pierś kochanka. — On  
wysoki, cały zbrojny, mógł być, rycerzy-duchów nocnych, wodzem, — marzeniem  
dziewicy wyrwanem, w chwilach natchnienia, poecie. Rękę jej trzymał w swem ręku,  
— to ją do ust, — to do serca przyciskał...  
Nad niemi, — grobowiec bohaterów, około którego falą sennych marzeń, przesuwają  
się echa pieśni — dawno przebrzmianych i jęki narodów. — Stary Wawel, czarnemi,  
jakby kirem pokrytymi murami, na gwiazdzistym rysował się niebie; — spoglądając  
smutnie, rozpaczliwie  
z wysokich wieżyc na okrążający go gród... na pałace, — świątynie, zgliszcza, —  
rozszypiska dawnej chwały. —

— Mgły rozwiewały się z pod nurtów Wisły i w księżycowych promieni blasku  
wydawały się, jakby roje duchów splecione, krążące, to ponad jej falami, to u  
stóp zamku, — to ponad głowami rozmarzonych kochanków.  
Może to duchy, wywołane z prochów dziesięciu wieków — po mogiłach rozwianych: —

bardów, rycerzy, bohaterów, królów, wywołane wieszczem słowem, wskrzeszone talizmanem, miłości młodzieńczej, — nadziei, — sygnałem (hasłem) boju, zwycięstwa!... Może te duchy uśnięte, na laurach swych promiennych, sławy, rozbudzone szczękiem oręży, jękiem rozpaczy, niemocy, — wzruszają się, między sobą krążą i pytają, — niemogąc zrozumieć ojczystej mowy; — bo w ich mowie lat dawnych, mowie wielkiej, bohaterskiej — jęków rozpaczy, — niemocy nie znano, — niebyło...

— Po za sadem, za murem rzy koń niecierpliwie, kopiąc nogą w twardy bruku kamień, — budzi z miłośnego upojenia, echem uderzeń, jeźdźca swego — namiętych wśród stepów i lasów — wśród łąk i gór, pohulanek, — towarzysza. — Witold, — jeszcze raz kochanki rękę do

serca przycisnął — i ostatniem pożegnaniem, zabłysła gwiazd odbiciem, łza, w oku jego chwilę jedną i — znikła wraz z nim w cieniach drzew i nocy. —

Za odchodzącym — drżące, jękliwe pognało westchnienie... i może niejedno i może nie samo, — może i łza długo wstrzymana wyrwała się w końcu z więzów woli i wraz z boleści wyrazem poszła utonąć w urnie łez przelanych — ludzkością — tam! gdzieś u podwoi Nieba na gwiazdach zawieszanej...

Koń ruszył z kopyta, — zakurzyło się po bruku, — a echo po wysokich murach łamało cierpki tentent kopyt. — I już na plantacyach — coraz żwawiej, by ująć precz z grodu, przed straży nocnej bacnością. —

Koń parska, — mgłą z nad łąk orzeźwiony — dmie nozdrzami i ogon do góry podnosi; — znać mu mile wtorują rozhukanej swawoli — i cisza — i zdwojony tentent jego kroków szybkich bez przeszkód, ni świadków — i noc gwiazdzista, — księżycowa — i te długie drżące drzew cienie: gdy, — raptem skoczył w bok i uszy do góry nastawił;

krzyk tuż blizki spłoszył go, może z jego marzeń stepowych, bujnych....

„Ratunku! — ratunku! — na miłość Boską ratunku! — Mordercy! mordercy! — ach! ratunku!...”

— Głos okropny, rozdzierający wnętrzości — rozległ się wśród ciszy grobów i zwalisk, — budząc zdrzemniętą po nich ludność — nocnego ptastwa. —

Witold spał się na strzemionach, spał konia, — skoczył w stronę skąd krzyk się rozchodził: — na rogu ulicy pod drzewem — ujrzał ściśniętych kilku ludzi — w gwałtownych szamocących się ruchach, — jeden z nich upadł na ziemię, — dwóch nań się rzuciło — głos przestał wołać ratunku. — Na widok zbliżającego się Młodzieńca — w mgnieniu oka odskoczyli ci ludzie i znikli za rogiem ulicy — zostawując na ziemi tarzającą się w konwulsyjnych ruchach ofiarę. —

Witold zeskokczył z konia i zbliżył się do zamordowanego: — ten leżał twarzą do ziemi, — a w plecach — w lewej stronie, widzi głęboko wpcnięty nóż. — Zbliża więcej, — patrzy, — pod nożem przetknięta kartka papieru

— z napisem, — przy świetle księżycy jasnym czyta, z głoskami krwią wypisanemi, — te słowa: „Rząd narodowy.” —

— „Oh! Panie! jeszcze jedna zbrodnia!...” wykrzyknął blady, drżący, — oniemiały Witold. — „Może go ocalić można, — jeszcze żyje!” — Chrapanie konwulsyjne, przytłumione rozchodziło się w ciszy, — znać życie silnem wytężeniem mocowało się ze śmiercią: bo ruchy straszne, łamane, towarzyszyły konaniu ofiary. —

— Witold porwał go za ramię i na wznak przewrócił; — wyjąwszy w pierw zbrojeckie mordu narzędzie, — daleko je precz odrzucił od siebie; z rany strumień buchnął czarnej krwi — wysoko, silnie i obryzgał spotniałe czoło młodzieńca. —

„— Ratuj! w imię Boga ratuj Panie! — Jęczał przeraźliwie w niemocy, zaledwie

przez obezwładniające się, przechodząc głos usta.—

"Ach! Boże! — moje dzieci, — moje biedne dzieci, — ach! ratuj, zlituj się, — jeśli Boga znasz ratuj! — Oh! mordercy, — dla czegoż mnie oni zabili, — czyż dla tego — zem może nie chciał zabijać jak oni — to mo-

je małe dzieci — z głodu pomrą, — oh! jak piecze, — jaki ogień ratuj!..."

Może mi każesz co spełnić, — mów kto ty jesteś? — pytał zrozpaczony Witold. —

„Kto ja jestem? — Ojciec siedmiorga dzieci bez matki, bez nikogo! — Jeżeli masz su-

mienie, — serce, — to bądź... Co? co? — ale ja żyć chcę! — ja żyć dla nich

muszę, — oh! ratuj....."

— Wtem z rogu ulicy odgłosy kroków dały się słyszeć, i ukazał się w dali oddział zbrojny patrolu. —

— „Nie mogę dłużej tu pozostać, — jeżeli mnie tu schwytają — mogę drugich, — wielu nieszczęśliwymi zrobić; — wołaj ratunku — oni tu przybędą — wsiadając szybko na koń, zawołał Witold. — Kto taki? — Kto?—"

"Patrol, — ja uchodzę, — ja muszę uchodzić, — niech Cię Bóg ma w pieczy..."—

— Konający głowę podniósł — i wsparł na ramieniu, tułub swój krwią zbroczony. —

Drętwiejące oczy — w świetle księżycowych promieni zabłysły — fosforycznym próchną światłem, strasznie na — wierzch wyłaząc, — i zawołał okropnym — przenikliwym — głosem:

"Co? — ty! — ty! — ty uchodzisz przed patrolern!?! — to ty z pomiędzy nich nademną naigrawać się śmierci mej chyba przyszedłeś?! — Co?! — ja Ciebie, zbójcę siedmiorga niemowląt głodnych, — o ratunek, — o opiekę dla nich chciałem prosić — błagać! — O! bądź przeklętym złoczyńco! — morderco! — bądź przeklętym! — przeklętym!..."

— A za lejącym w cwał po bezludnych ulicach jeźdźcem — echo złowrogie — niosło cierpkim, — piekielnym — rozgłosem ostatnie słowa — przeklęstwa...

— Młodzieniec w chwil kilka już był daleko, po za bramą — miasta, — na otwartych błoni, szerokim gościńcu. —

— Rozpacz swe zjadliwe szpony w głębię serca wpoila, — skąd duszą młodzieńczą targając, — wrywała się potokiem zatrutej zółci na świat. —

„O! hańbo, — hańbo! — piekielna hańbo, — do tegośmy doszli, — my Polacy, — że jak zbójce z tyłu, z nienacka zabijać się nauczyli! O! bądźcie wy przekłeci, — wyrodki cudzych, plugawych żądz narodów, — coście na naszą nieskałaną zaszczepili ziemię — wasze zbro-

dnie bezkarne! — O! gdzie tam bezkarne! — Bóg drży gniewem — na widok tych mordów bezbronych i światem i niebem w posadach wstrząsa! — O! drzyj złoczyńco przed śmiercią — gdy cię u wrót wieczności, przed duchem mściwym Polski postawi... Ty! coś pierwszy raz podniósł wisielca żelazo, w cieniach nocy, w Jej świętej sprawy szaty, odziewając twą zbrodnię!... To krzywda całego narodu, w żalobie, w okowach jęczącego, o pomstę wołająca!... Trzebaż wam było to, co było chwałą naszą promienną w obec innych ludów, w dziesięciowiekowej nieskazitelnej przeszłości, — dziś zdeptać nogami, — błotem obryzgać i krwią, po zbójceku! — Oh! ja mam przewodniczyć tej tłuszczy, w której może niejedyn zwałaną ma duszę i ręce w mordzie ulicznym? — Ja ich mam z krzyżem męczeństwa w rękę, z rozpiętą na nim wołającą ratunku, od synów swoich, Matką, prowadzić do chwały!?... Ach! — niechże mi się pierwszemu śmiertelny cios dostanie, — niech tu! w to serce, co mało nie pęknie z boleści, kula się wciśnie i wygna z niego i tchnienie

i myśl i pamięć rzeczy obecnych, — a tylko dawną przeszłość zostawi!..."  
— Wiatr z czoła uchylił mu czapkę, — on ręką sięgnął do czoła, — ono całe mokre było; — otarł je, — patrzy na rękę — ręka cała czarna od krwi...  
" — Na mojem czole krew! — krew zamordowanego! — chyba na wieczne piętno hańby, upodlenia; — ach! i przeklęstwo! — On mnie przeklął — i ich przeklął — i ja idę wieść hufiec poczwarny, przeklęty..... o! tak, przeklęty, przeklętymi dowodzić będzie, — oh! tak, tak! — przeklęstwo, — podłym — mordercom, — tchórzom, — matkobójcom!..."  
— Wtem koń się zzymnął, podskoczył, Witold cugle ściągnął — i w tym gwałtownym ręki ruchu, — błysnął pierścień w promieniach księżyca, — w zapłonionem, gorączkowem oburzeniu oku — błysnął przelotnie — i tem światłem, jakby iskrą elektryczną, — ocucił Młodzieńca i on — przestał złorzeczyć.  
— Spojrzał na pierścień — i wznosił głowę i oczy ku gwiazdom, ku Niebu. —  
„Przebacz raz jeszcze Ojczy Szymonie! —

przebacz, lecz zbyt bolałem, — takiej boleści niestarczą siły woli, — prócz pamięci o tobie! — O! tak, prawdę mówiłeś: Polska przejść musi przez Golgotę, — przez swoich dzieci splugawiona, — umęczona, — ukrzyżowana — i serce przebite mieć musi, — za nim tem męczeństwem, tą krwią swoją, tą śmiercią swą — nie okupi przeszłości, — nie wywoła, — nie wskrzesi przyszłości!..."  
— Chłód nocy — orzeźwiał do koła uśniętą w cieniach naturę; — mgły swe srebrne szaty kołysały na falach Wisły.... Na ziemi — wszystko o Niebie śniło...  
Koń stapał żwawo, zapewne marzył o dawnych wśród łąk zielonych, wśród stepów nieprzejranych — pacholących, za klaczami gonitwach; — jeździec mu cugle porzucił, — zwiesił głowę i sam się puścił w obieg minionej przeszłości. —  
Staneły mu przed oczyma duszy — te dziecięce lata na kolanach Matki, — te Modlitwy w jej pieśnizach wyuczone, — ta wiara błoga, spokojna, — cicha, — te dnie jasne słoneczne — na łąkach kwiecistych spędzane, — oh! i tu się ściemniło — okropnie, — obrazy straszne zaćmienia, jak mary prze-

szły, wzdymając pierś wysoko — westchnieniem — aż znowu słońca promień słabo zajaśniał i na jasnym błękitu tle ukazał postać, czy widzenie... Serce zakołatało i oddechu zabrakło... Natura się cofa przed widmem szczęścia: bo z tyłu chmury nadchodzą — zniweczyć, zatrzeć, zdruzgotać — niebiańskie marzenie mogą...  
Ponad rozmarzonymi — gwiazdy gasną, jedna za drugą — i ten odwieczny czarodziej — księżyc, zniżał się do snu — tyłu swemi czarami znużony, — w ciągu nocy...

\* \* \*

— Po złomach skał — na wzgórzu las jodeł pnie się ku Niebu, — które, jakby larwy strażnicze przeszłości, — szumem swym tajemniczym do snu kołyszą: — poważnie wśród nich zadumane, harde zwaliska siedziby — hardego imienia panów Tęczyna. — Gruzy — zgłiszczą — na gruzach — rozwianej, zagasłej świetności — zagasłego nazawsze imienia!..."  
— Po wysokich sennych, jakby pożaru luną oświeconych, murach zamczyska — cienie olbrzymie, — czarne rysują się. — Czy to ja-

kie ciemne duchy przechodzą, — powstają, — nikną, — znowu się ukazują i znowu

nikną — w ciemnej dali — jodeł i nocy?...

Zwojami bluszczu, z wierzchołka baszt, druzgotanych gromami, — wiatr chwieje, — budząc w nich roje motyli, ćmów, — muszek o gazowych skrzydełkach i roje brzęczących komarów. —

— One myślą może, że to słońce — ten ulubieniec, bohater ich pieśni dźwięcznych, — tak wcześniej druhów swych wiernych ze snu obudzą?... — lecą, — pędzą, chmurą całą — po uścisk pałacy — ku światła promieniom, — ku — ogniskom porozpalanym w krąg zamkowego dziedzińca. —

Na skałach, na gruzach, — w głębi lasu liczne płoną ogniska, — w koło nich zbrojnych ludzi pozasiadały tłumy. — Jedni siedzą, — drudzy chodzą, — a wszyscy gwarzą, krzyczą. — Na drągach kotły wiszą, — z nich para się ulatnia i łączy się z dymem zawisłym czarną chmurą ponad murami zwałisk, ponad pochylonemi jodeł szczytami. — Przy każdym ognisku broń w kozły ustawiona, — karabiny, piki,

kosy; — opodal do drzew przywiązane rzy niecierpliwych stado koni. —

Przy jednym z tych ognisk, na skale rozświetlonem, siedzi kilkunastu młodych ludzi; — rozprawiają żwawo, gorąco, — pomiędzy nimi jeden siedzący na mchem porośłym odłamie jodły — przytłumia ich głosem i ruchy swemi. — Głowa odkryta, — łysa, — twarz blada, chuda, zapadła w długą, jakby pasmami powyrywaną, rudawą zarosła brode; — dwoje oczu siwych, małych, utkwionych miała w sieci zmarszczków. — Twarz tę upiora ożywiał uśmiech ruchliwy — bezwstydney, głupiej wesołości.

— Po ubiorze mniszym — poznać w nim kapucyna. — Odzież wytarta, brudna, — przyklejona do chudej postaci, jakby łachman z długiej grobu zgnilizny wyciągnięty, porwany. — Nagie ciało przeświecało gdzie niegdzie przez dziury. — — Szklanice napełniały się winem z beczek stojących przy ognisku, widno dar, hojnej jakiejś ręki? — — „O! to dobre winko!” zawołał kapucyn i zerwał się, wyprostował swą długą postać, — podniósł szklanę do góry: — „Pijmy za zdrowie Amfitryona! — zdrowie Pana

„Hrabiego Ludwika! Vivat! exelentissimus, illustrissimus Dominus Comes Ludovicus...”

KILKU ŻOŁNIERZY (razem):

— „Zdrowie obywatela Ludwika! — Zdrowie obywatela Ludwika! —”

HR. LUDWIK (ukazując się z poza drzew), z uśmiechem:

„Dziękuję Obywatelom, — a ja za Obywateli zdrowie piję! — oby Obywatele, zwycięzko i cało wrócili!...”

Do siebie (ani noga) — (odchodzi z drugim, w cienie drzew).

HR. LUDWIK.

„A więc to prawda co mi mówi! — jakto „ten szubrawiec?... —”

ROTMISTRZ STEFAN.

„Tak jest, Panie Hrabio, — mogę mu przedstawić tego, który mi o tem powiedział. —” (Obraca się i zbliża ku ognisku). — „Obywatelu Zyguncie, chodź no na chwilę! —” (żołnierz się zbliża.) — „Oto jest, obywatel Zygmunt Szurpa, — szeregowiec narodowy, — który Panu Hrabiemu objaśni to, co Pan Hrabia żąda. —”

HR. LUDWIK.



„Czy to więc prawda, jak mi mówi kollega jego, że ten Witold, wódz wasz, — to człowiek rodu książęcego — i że się ukrywa, pod pseudonimem Siekiery, czy tam Topora? —”

ZYGMUNT SZURPA.

"Tak jest rzeczywiście. —"

HR. LUDWIK.

„Skądże wie szeregowiec, — obywatel, o tem?...”

ZYGMUNT SZURPA.

„Jako skąd? — Byłem z nim razem w szkodach; — on uwolnionym został koronacyjną amnestyą z katorżnych robót, — wróciwszy więc z Syberyi, wstąpił do uniwersytetu kijowskiego i został doktorem."

HR. LUDWIK.

„I do tego został doktorem!... Zapewne dla tego ukrył przed światem swe imię świetne? —"

ZYGMUNT.

„Niewiem dla czego, — lecz wiem, że swe

papiery popalił i stwierdził przysięgą swe wyrzeczenie się i zaparcie tytułu — na zawsze. —"

HR. LUDWIK.

„Używać więc go nigdy nie będzie! quel fou! tant mieux! — (do żołnierza) — Dziękuję obywatelowi Szurpie, — nieprzeszkadzam." — (Zygmunt odchodzi). — (Do Stefana): — „A więc dotrzyma swej obietnicy, — wierzę, — i oto proszę tem czasem." — (Wydobywa pugilares i daje Stefanowi). —

ROTMISTRZ STEFAN (z widoczną radością).

„Prawdziwie Panie Hrabio, — wdzięczny jestem, — niepotrzebuję obecnie pieniędzy... choć to pożyczka mnie emigrantowi..."

HR. LUDWIK.

„O! pieniądze zawsze się zdadzą, — tu jest dobrych pięć tysięcy müntz, i wcale nie pożyczka! — resztę, później, wie kiedy...słowa dotrzymam, a i obiecanej protekcji, — karyera Pana Berkowskiego, zrobiona! zrobiona!"

ROTMISTRZ STEFAN (biorąc i spiesznie chowając purgilares.)

„Niewiem, jak wielce wdzięcznym będę — za tyle dobroci..."

HR. LUDWIK.

"Wdzięczność jest monetą o którą niestoje; — przyrzeczeń, z obowiązków dopełnienia potrzebuję, — wymagam. — Odchodzę, żegnam, — niech pamięta, co przyrzekł, — niech pamięta o..."

R. STEFAN (śpiesznie kłaniając się).

„Niezapomnę! niezapomnę! Jak na Zawiszę Czarnego proszę rachować!..."

HR. LUDWIK (niknąc w cieniach lasu, do siebie głośno).

„Ten łotr, — ten wisielec, — to imię wymawiać śmie! — o! cieniu bohaterski

przebacz świętokradztwu..."  
(Znika).

R. STEFAN (wracając ku ognisku).

„No bracia! jedzmy, — pijmy, — śpiesznie; — chwil kilka wesołości, swobody jeszcze: bo niedługo na nas, nasz Topór spadnie!... — ”

XIĄŻĘ MICHAŁ.

„Eh! eh! — to zawsze lepiej, — (topór) Jak stryżek! — a mam ja ich tu dosyć — „co? —” (I począł wysnuwać (wyciągać), z pod sznura, opasającego habit mniszy, długie zwoje sznurków. —

Wyciągnąwszy je — podniósł do góry, i wstrząsając niemi wołał:) — „O! o! — czy widzicie! — wystarczy na naszą wyprawę!?...”

SZEREGOWIEC.

„Niełap no ryby, przed niewodem Xiężu! —”

DRUGI SZEREGOWIEC.

„Może no, Ciebie pierwszej powieszą.” —

TRZECI SZEREGOWIEC.

„On się urwie! — Gałęź nie zechce go „trzymać!...”

XIĄDZ MICHAŁ.

„Silentium! — basta! — Panowie Uciekiniery! — Szanujcie suknię moją. — Ona wisieć niebędzie! —”

SZEREGOWIEC.

„To ją zdejmą, — a Ciebie powieszą, — a dużoś no Ty Xiężu ich powiesił? —”

XIĄDZ MICHAŁ.

„Dotąd, sto sześćdziesiąt pięć z paszportem do piekła, Mongołów wysłałem, — lecz myślę, że to dopiero początek sakramen-

tul — A wiesz tak nikt nie umie jak ja! — Na tyle niedźwiedziów, ciężkich jak ołów, — jeszcze się żaden nie urwał, — he! —”

SZEREGOWIEC SZURPA.

„Czy pamiętasz no, Popie, — wtenczas, pod Krzeszówką, w alei lipowej, — jakieś ją całą, kieby latarniami — przyozdobił szeregiem wisielców? — jaki to skoczny taniec był rąk i nóg!? ha, ha, ha... (Wszyscy się śmieją głośno ) Ha, ha, ha, ha...”

XIĄDZ MICHAŁ.

„O! pamiętam, ten dzień zrujnował mnie, — sto łokci sznura wywieszałem! — i dobrzem się też namęczył, nadźwigał, każdemu z nich się u nóg wieszając — dla prędszej expedycji... Ale i wam później gorąco było! — jakieście to pięknie zmykali — hm, co? — Obywatelu Janie, Zygmuncie, Henryku!?...”

JAN.

„O! Tyś niedrapał, — bo tobie zuchu chłodno było pod mostem nocować. —”

SZEREGOWIEC (wbiega zdyszany).

„Bacność! — Wódz się zbliża! —

Z poza olbrzymich murów, z poza długich niewyraźnych cieni — zarysowała się czarniejsza postać na rozświetlającym się już od wschodu niebie i ukazał się ogniskom, na zapienionym koniu Witold).

WITOLD (stając w środku obozu).

„Bacność! — zbierać kotły, — siodłać konie, — nabić i do rąk broń!"

(W obozie ruch, zgiełk - biegają - latają, zbierają kotły - broń nabijają - poprawiają odzienia - kielzają konie...)

WITOLD (do Stefana).

Ustawić oddział w szeregi, — na lewo kawaleryą, na prawo piechotę i kosyniery — bagaże z tyłu. —

(Stefan odbiega, porządkuje, ustawia. rozkazy daje....).

WITOLD (głośno).

„Bacność! — do broni! — Na ramię broń! prezentuj broń! — (do Stefana) — Pluton z szeregu! — prawem bokiem Wisły, ku góróm Ojcowskim — na zwiady! — szybko, — cicho, — zwinne, do wieczora nazad! — (do oddziału) — Marsz!! —" —

(Stefan z rekonansem zniknął w cieniach lasu). Uszykowane szeregi za poprzedzającym ich Witoldem postępują porządkiem krętymi drogami pomiędzy złomami skał i drzew gęstwiną. Wtem Witold wytrzymał konia, pałasz podniósł do góry i stanął. Oddział się wstrzymał.

WITOLD.

— „Bracia! — bracia Polacy! — Nim słońce zejdzie wstąpiemy na ziemię przesiękłą niewinnych krwią braci, — wołającą na nas o ratunek! — o! pomsta! — Odwagi więc! — męstwa! wiary! — pamiętajcie, że nas do boju — jęki zhańbionej Matki Ojczyzny prowadzą! — Za mną więc! w imię Bogarodzicy i Polski!..."

GŁOSY TŁUMU (wszystkie razem)

— „Niech żyje Wódz nasz! — Niech żyje Topór!..."

Z wysokiej wieży zamkowej — stoczył się kamień i kurzem się rozpryskał na skałach. — Czy może obudzony z grobowego snu zwałisk — echem dawnych, lubych dźwięków, — chciał pogonić za oddalającym się szybko, po skalistej drodze, oddziałem ?...

\* \* \*

— Z schodzącą z gór, zbrojną młodzież, — na ziemię, krwi, gwałtów, — mordów, pożogi,

— słońce witało, odgłosem drżącym, — huku armat, z oddali...

OBRAZ IV.

"Przechodniu! idź powiedz Sparcie,  
żeśmy tu polegli posłuszni Ojczyzny  
rozkazom."

#### IV.

...Ciemno — bezduszenie!... Czy to już w mogile — że tak czarno do koła? — Czy to w grobie żywcem zakopanych — że nic rozeznąć nie można, — nawet myśli, — nawet głosów, — słabych jęków, — westchnień bolesnych, ciężkich, — jakby z piersi ziemią przywalonych?...

— Coś w dali szepce, — niby wody szmer, — niby puszczy tajemniczy szum, — a po nim echo głuche się roztrąca, — jakby sów hukaniem — odpowiadających sobie, — czy szelestem trącających się skrzydeł ptactwa nocnego w przestrzeni. — Dwoje dzikich błysnie spojrzeń zielonawem światłem — i przeleca i

znikną — i znowu ciemno — okropnie, — ni gwiazdy na niebie, ni obłoków w przelocie. — Może to chmura, — gromami ciężarna i wichrem zawisła ponad ziemią — i wszystko przed nią umilka, — lub zaledwie jęklawie drży z cicha?...

— Nie! — to nie w mogiły chłodnem wnętrzu, — bo wiatr duszny przewiewa — i woń roznosi — świeżych zgliszcz — dymu — pożogi, — woń, krwi i mordy!.....

— O! wiatr się coraz wzmaga — i na swych drżących falach — to przekleństwa głosem rozpaczy wołane, — to jęki niemocy — śmiertelnej, — to westchnienia ciężkie, drżące, może ostatnie tchnienia wraz z duszą — niesie — gdzieś tam! — Może aż do stóp Boga...

— Wiele tych tchnień dusz wychodzących być musi, — bo się powietrze faluje, — wzdyma; — wiatr drugi z przeciwnej powiał atrony — i fale się z falami — spotkały!... I szum straszny, — łomot, — trzask drzew, — wicher przeraźliwie, jakby stu gromów uderzenie, zawył i trąbą piasku dusząca zakręcił do koła! Może to dusze — za życia nienawiścią targane, — za życia, w krwi swej, z rozkoszą

broczące, — po śmierci ciemności duchami wiedzeni, u wrót wieczności bój swój rozpoczęły?... i tak nieśmiertelność wieków, — w walce zawieszeni ponad ziemią, krwią ich przesiąkła, przetrwać mają?...

— Wtem — zaczęło się rozjaśniać niebo i na niem czarniejsze zarysowały się — niby mury olbrzymiego wielkoludów grodu, — niby głązy zwieszane ponad przepaściami — chwiejące się niebotycznych jodeł szczytami... do koła jęczą przeraźliwie, zapewne ofiary potworów krwiożerczych, zamieszkujących te piekielne otchłanie, — „gdzie żadna nie zaświeci gwiazda”...

— Nagle, od razu trysnął promień srebrny, jasny po nieba sklepieniu, — za nim drugi, trzeci, — tysiące! — i ukazał się w zwojach mglistych chmur księżyc czerwony, — wielki, w pełni, — spojrzął z poza widnokregu na obraz pod nim się rozścielający — i zbladł; — i przerażony cofnąć się musiał, bo znalazł i rozlał się ponurem światłem po skałach, górach, lasach, — zgliszczach dymiących murów — i po rozrzuconych po dolinie, po brzegu rzeki — stosach trupów, nagich, jeden

na drugim leżących, — ruszających się i dźwigających w boleściach konania, — okropnie, — rozpaczliwie. — O! straszny ten obraz z ciemności chyba piekiel wyjrzał w tej nocy burzliwej na ziemię... —

— Ponad jęczącymi ulatuje stado sów i kruków zgłodniałych — i słyhać jak dzwonią dziobami w półmartwe, w żyjące jeszcze czaszki, we krwi swej własnej tonące. —

Tam! — tam, na wyższym od innych poległych stosie, — wśród pobojowiska, ktoś siedzi. — Czy to posąg zniszczenia, — czy duch boju mściwy napawa się swem dziełem, — czy upiór nasycający się dymem krwi świeżej, — żywej — tętniącej jeszcze?... —

To Witold! — Witold! — to wódz nasz mężny, — bohater! — Sam jeden tu wśród pogorzeli i trupów, — sam jeden wśród żywego cmentarza!... Tać to jest chwała, zdobycz wolności, zwycięstwo !?

— Młodzieniec siedzi na trupie swego konia, jedyne wiernego druha, towarzysza, — powiernika bohaterskich dum; wsparł na rękę głowę, z której krew kroplami się sączy.

„Wstać niema siły, — już mnie one odchodzą, — niemoc moja przykuwa mnie tu, żebym z rozpacz a nie z ran skonał. Ha! to znać przeznaczeniem mojem, — mnie, żywemu, patrzeć w ten pałający obraz męczarni! — słyhać jęków i przekleństw, — rachować tchnienia konających własnych braci — i — za każdym tchnieniem rozdzierać serce i duszę w wścieklej rozpacz, że to ja ich młode roje wiodłem szalem, — i tu żywych własną ręką zagrzebałem!...

— Oh! śmierci! — śmierci! — prędzej, — Boże, ulituj się nademną!...

Kilkudziesięciu walecznych tu przy mnie poległo, — reszta uciekła! — uciekła, — i tę uciekającą trzodę — bili i bili — i pole niemi zasłali!... bili ich z tyłu, bez obrony, bezchwały — jak chcieli, — ach! widziałem moich jak na kolana przed wrogiem padali, — ręce jak do Modlitwy, — jak do Boga wznosili, — a pijane żoldactwo w tych rozkrzyżowanych strachem, — podłością, — dymiące krwią piki wpychali — ze śmiechem, — z pogardą... Ach! śmierci, czemuż tak wolno przychodzisz!? — Czyż ja jeden mam prze-

żyć — hańbie mojej — hańbie narodu, — by przed nim o niej żywo świadczyć!?... — Marzenia moje! — zwycięstwa moje! — nadzieje moje!... we wstydzie, w krwi braci utopione, — na zawsze, na wieki!..."

— Drzewo nad nim skrzywnęło jakby głosem chcącej się ułamać gałęzi. — Witold oczy podniósł — i spotkał się z wylazłymi na wierzch głowy, oczyma wisielca, — świecącymi się strasznie w księżycu promieniach. — Wiatr powiał wisielcem, — trup nagi urwał się i upadł z trzaskiem u nóg Witolda, trącając go zimną i ciężką swą ręką. —

— „Ha! jak się masz księżu Michale — i ciebie powiesili, — tyś lepiej wieszal jak oni, — twoi się nie urywali. — Haniebna poczwaro ludzkości! — idź precz odemnie! —”

— I odtrącił go nogą daleko od siebie. — Trup się potoczył ze skały i upadł w nurty rzeki głębokie, — woda prysnęła, — zadrżały fale, — zatoczyły się długie drżące kręgi — i znowu nowe fale nadbiegły i dalszy bieg wody; — trup — i wieść o nim zniknęły... —

— Witold wsparł się na obu rękach — zanurzył je w poklejone krwią — włosy i po-

czął rozwijać w pamięci nieszczęść i życia swego pasma: — Widział się małym jak igrał na Matki łonie, — słuszniejszym młodzieńcem, jak go z jej objęć porwano i w ciemne podziemia więzienia wrzucono. — Widział swą Matkę zhańbioną, zbitą, splugawioną przez oprawców Ciemności. — O! i gdy go później w ziejące trucizną katorżne nory wepchnięto. — Namiestnik cara — Matkę jego, prośbą rozłzawioną — w to łono, co go w męczarniach wydało, — nogą uderzył, powalił o ziemię i jak psa

— wygnać skrwawioną na ulicę rozkazał! — Widział ją nakoniec przy sobie umierającą z głodu, z nędzy, z łez nadmiaru, — bez ratunku, bez kropli wody bratnią ręką podanej, — bez wiary pociechy! — I wzdrygnął się w głębi pokaleczonych swych wnętrzności, — i zdawał mu się los łżejszym — i rany i męka — i sromota bladły przed rozpaczą szaloną — na wspomnienie hańbionej — zamordowanej Matki. —

Ha! lecz jam Ciebie pomścił — Matko! choć w niewidomie małej cząstce o! boby mi krew milionów niestarczyła nawet! — O! ta ręka, co Ci oczy przymknęła, — ta ręka co Ci mogiłę z lodu usypała, — zboleła, bezwładna

teraz w krwi się ich dzisiaj — kapała, brnęła!..... Matko, Matko to jeszcze za mało!...."

— Z boleści wielkiej chciał się zerwać, — biedz, lecz sił mu zabrakło i znowu usunął się na swe trupie posłanie. —

— Kruk, kracząc żarłocznie — ponad nim krążąc, — uderzył go skrzydłem po głowie, — szukając oczu jego na strawę, — i odleciał szybko daleko! — Witold głowę podniósł, — oczy otworzył, — i zerwał się siłą woli na nogi... Przed nim wysoka postać na chmurnym Niebie stała, — na niej zbroja jaśniała świetna — w księżycy promieniach, — mgłą nocną owiana:...

"Kto ty jesteś? i czego chcesz?" — Zawołał Witold drżącym głosem; — włosy wzruszyły mu się na głowie. —

Kto ja jestem! — Ty mnie się pytasz?..." odpowiedziała mu postać głosem niby echem dalekiego po szczytach drzew wichru. — "Ty mnie niepoznajesz — Witoldzie! Czyś mnie niewidział nigdy i nigdzie?..."

— "Czym niewidział ciebie?... Jam cię niewidział! — jam śnił o tobie dawno, dawno, w Matki objęciach, — w onczas, gdy mi się

zdawało życie uśmiechem, a więc snem jeszcze. — O! tak, twarz mi twa znajoma z niemowlęcych jawnych snów, — twą długą, — siwą brodę, — tve rozwiane białe włosy — w zamku ojca mego — Matka moja ukazując, — czcić kazała, — o! tak, — słyszę jeszcze jej głos na dnie serca, jak Cię nazywała — protoplastą, — chwałą domu mego. — Rysy twe, maro, czy ducha, — to rysy portretu księcia Hetmana!..." —

"A więc mnie poznajesz!? — i jakżebyś nie miał poznać, — jakżeby duch krwi twej nie miał się we mnie, jak w swem zwierciadle przejrzyć, — tyś dziecko ducha mego Witoldzie! — Witoldzie! — dla czegoż się go zaparł — przed światem, — przed ojczyzną, — braćmi, — narodem!?"

— „Dla czegoś się ja zaparł, — ty mnie pytasz, imienia mego!... A i cóż to są dziś nas te imion pyszne dziedzictwa?... Upiorydawnej, świetnej przeszłości wlokące po ziemi swój łachman purpury — na urągowisko chyba — pokoleniom przyszłym—?... Wypieram się Narodu, — który był i przeszedł — i ślady krwi, rozpaczy za sobą zostawił!... O! ja się

go wypieram! — wypieram świetności, — sławy, — co się rozwiały, — zagasy, — ścichły jak zapomniane tony hymnu wiekami śpiewanego, — a dziś — może się tylko z gwiazdy na

gwiazdę — błakającego..... Czegom się jzaparł!? — A to popatrz w oko! — szukaj tu przyczyny, — w hańbie, — w sromocie, w niewoli, upodleniu. — Naród w błocie — i ja z nim, — a jeszcze więcej — z świetnością dawną przodków rodu mego! — O! dajże mi moc twoją, twych czasów wiarę i miłość, — daj mi dawną Polskę, dawny naród, — dawną szlachtę, dawnych Xiążąt! Hetmanów! — O! to się nie zaprę, — niepowstydzę imienia mego; — a do laurów, przez was zdobytych, dołączę

i swoją gałąź i swoje liście bohaterskimi zapisane czyny! — Jeżeli masz nieziemską moc ty duchu wielkiej przeszłości, — to przyspiesz śmierć moją! — przyspiesz ją, ja pragnę!..." — Ja przyspieszać śmierć twoją — choćbym i mógł, — to niechęć; — ty musisz żyć i cierpieć jeszcze — i cierpieć wielce — i cierpieniem, męczeństwem okupić bluźnierstwa twe straszne! — Jak to! — to ty Ojczyznę wkajdanach, — we łzach, w ranach — konającą,

lecz nie skołała — nogą wzgardy potrącasz? — To ty Naród — walczący, — pod niemocą upadający, — przeklinasz! — i nawet świętą, nieskalaną przeszłość twą — błotem obryzgujesz, — plujesz w hostyą — umęczoną! — Wiedz więc! ze Polska będzie, — będzie! wielka, — potężna! — Ze wszystkich krzyżów — to jest ostatni — i najcięższy, — który dźwiga: — bo go jej własne dzieci na barki włożyły!... Koniec męki już blizki, — lecz ty go już widzieć niebędziesz, — a pokolenia — przyszłe twego Narodu... Patrz! — patrz, — niewierny — słaby duchu..." — I to rzekłszy, — tajemniczy duch Hetmana — podniósł, — w rękę świecącą się jak meteor brylantowem światłem — buławę, i ukazał nią w stronę Krakowa, — skąd dochodził cichem tchnieniem — jęk Zygmuntowego dzwonu. —... — Z poza srebrnej mgły, — z poza jodeł cieni, pomiędzy skał złomami, — po księżycu promieniach, — ponad falami rzeki wyszły z widnokregu szeregi mglistych postaci — i zarysowały się na Niebie ciemnym — obłokiem światłym, piętrzącym się ku Niebu, — w długich

szatach: — rycerzów na koniach ognistych, — bardów dawnych z lutnią w rękę, — królów w gwiazdzistych koronach... — Naprzód — ukazał się starzec z długą brodą, siwy — przez dwóch Aniołów na skrzydłach niesiony, — nad nim jasność się roztaczała... „O! to Piast stary! —" zawołał Witold, chcąc do stóp jego lecieć. — Duch mu nakazał milczenie — i wstrzymał go. — Za starcem — na koniach ognistych — pędem burzy — przelecieli z mieczami i krzyżem w rękę, — w koronach świetnej szczy nad gwiazdy: — Mieczysław, — Chrobry, — Władysław! — Opoдал nich, w czarnej zbroi, na czarnym koniu z gwiazd, gromem lecącym — Zawisza przedarł widnokrąg i złączył się z nikiem w dali przeszłym szeregiem. — Księżyc zbladł raptownie i gwiazdy pogasły... jakąż to jasność roztoczyły te dwie postaci w koronach z promieni tronu chyba Wszehstwórcy wziętemi!?... O! bo to mieszkańce Niebiańskiej krainy — Jadwiga, — Kazimierz — przeszły, zostawując w skołatanej duszy Witolda pro-

mieniste ślady swego przejścia — zachwytem dusz świętych. —... — Witold upadł na kolana, — wznosił ręce ku świetnym widzeniom i tak dalej patrzył w ciągnący się pochód dziesięciowiekowej sławy bohaterów... — Jan Zamojski, — Stefan króli Sobieski z laurem promiennym na czole; — Kochanowski z lirą o złotych strunach, z Urszulką Aniołkiem na rękę, dalej Skarga smutny, — o białym włosie i z jasnym, proroczem w dal spojrzeniem przeszedł, spojrzął, usta wymową Niebian mu drgały i znikł. — Cóż to za orszak na skrzydlatych koniach, — całe gwiazd, pół nieba zasłonił? — To hufiec z Hetmanów złożony!... Przez niebo, po gwiazdach koń samotny pędzi, pędzi, zniża się ku ziemi — i przed wieszczym duchem stanął —... duch Hetmana dosiadł rumaka, opuścił Witolda i złączył się z świetną drużyną... I wiele, — wiele, — wiele długim szeregiem przechodziło przed oczami duszy Witolda, — a wszyscy w koronach promienistych, — lub z wieńcem laurowym, lub aureolą świętości na głowie. — A wszystkich szaty takie jasne, takie białe — białością dusz czystych,

nieskażonych, — niebiańskich; — ka-

żdy z nich patrzył mu w oczy — i jasnością wzroku dusze mu oświecał i nastrajał w przybytek modlitwy, — miłości, — zachwytu... — Oh! jeden z nich — mu spojrział tak głęboko w dusze, — że mu duży szereg łez po zakrwawionem licu wypłynął; — tym był Kościuszko, a za nim, tuż za nim, Ojciec Szymon, rozłzawiony cały!... — „O! wielkie duchy promiennej przeszłości! — krwią dzieci waszych z niebiańskiej siedziby, z grobów wywołane! — przebacście, — przebacście skołatanej duszy, — żem niepomny świętych imion waszych; — z rozszarpanego torturami życia, serca, żółć zjadliwą, bluźnierstwa, w oczy konającym braciom mym plwał, — lecz patrzajcie! — jam cały od kajdan zgruchotany, — ja tym ludem, któregom ukochał, zbity, wzgardzony, — ja własnym mym hufcem zbłocony! — Zbyt słaby, choć w jękach wzrosłem, — zbyt słaby, choć z niedoli, z łez powstałem, bym dźwignąć mógł był nie szemrzając, nie złorzecząc — za wielki ciężar zawodu, za wielką rozpacz niedołęztwa!... O! Narodzie mój, — chwała ci! — Ty wielkim, potężnym po wszystkie wieki będziesz — kiedyś

z siebie wysączył — tak olbrzymią przeszłość!...” —  
— Duchy niknęły, jedno za drugim następując, w różowych jutrzeńskich blaskach, — niknęły, — rozplywały się w jasności rozświtu... —  
— Świt opromieniał nadziemską światłością zachwytu, natchnienia, bladą twarz — klęczącego samotnie żywego — wśród pobojowiska, — Witolda. —  
— W tej chwili z poza skał — wyjechało konno kilkunastu ludzi, — na czele nich jeden, — ten przystanął i ukazując ręką, rzekł do nich: —  
— „Oto on jest! — Wódz — Witold Topór!” — I oddalił się szybko sam wzdłuż łąki — na wschód. —  
— Z świetnego niebian widzenia Witold się ocknął — i pogonił za oddalającym się w stronę duchów przejścia — i poznał w jeźdźcu, może tym już zmysłem duchom pobratymczym, — rotmistrza Stefana... —  
— Kozacy — zbliżyli się, z koni posiadali, rzucili się ku niemu i ręce mu — z tyłu związali.  
Lecz tam! — po dolinie, — po gru-

zach płonących, — po stosach trupów, — czy to ranne widmo jakie — spóźnione? — Czy to jakiej duszy postać, szukająca wśród konających duszę bratnią przyjaciela, — kochanka? — postać niewieścia zniża się ponad umarłymi i konającymi, — jakby poznawać kogoś chciała. Nagle, na szczęk oręza, — na odgłos kroków po skałach koni i ludzi — powstała, — spojrzała, — wyciągnęła ręce i rzuciła się lotem błyskawicy — ku Witoldowi, — w ramiona otwarte krwią zbroczoną objęła głowę:  
— „Witoldzie! Witoldzie, mój luby! mój kochanku! - ty żyjesz! ty żyjesz! oh! ty żyjesz — Witoldzie...”  
„Jadwigo! — pocóż ty tutaj przybyłaś!? — Czy żeby w krwi broczyć bratniej, czy żeby mej hańbie...”  
„Oh! przestań Witoldzie! — Ja chciałam przyjść umrzeć z tobą, — nie odpychaj mnie, — przytul mnie do serca — do twej męskiej piersi...”  
„Jadwigo! Aniele! kochanko moja! — Jam nie umarł, jam życie tysiąca młodzieży tu w krwi i błocie zatopił i sam je przeżył! — Ty chcesz, — ty wołasz bym Cię do serca przytulił! — Wszak



patrz! nie mogę, — oni mi ręce z tyłu związali — Jam jeszcze na stosach trupów i w zdrojach krwi braci — zdradzony, — zdradzony przez przyjaciela, — przez Polaka!... —  
„Jadwigo, uchodź stąd! — idź nazad do Krakowa! — Módl się za mnie — za nich! — idź Jadwigo, — długo cierpliwości — siepaczy probujesz, — oni cię zabić — zhańbić gotowi! —”  
— „Zabić? — zabić, — dobrze! — zhańbić nigdy, — bo największa hańba z rąk ich będzie mi chwałą... Witoldzie, ja z tobą pójdę! — Niech mnie razem z tobą, powiesz, — jeżeli taki ma być twój los! —”  
Żołnierz kozak. — „No prędzej — w drogę — marsz!”  
„Bywaj zdrowa — Jadwigo!...” —  
„Ja cię nieopuszczę Witoldzie! — Ja cię nieopuszczę! — Szubienica, małżeństwa ołtarzem nam będzie, — weselnemi gody — grób, — tam! poza grobem — w Niebie — Ojciec mój błogosławić nas czeka...” —  
„Jadwigo! — błagam Cię...”, —  
— Kozak. — „No kiedy taka harda, —

to i ją związać i z sobą zabrać, — to widno, buntowszczyca jak i on! —” —  
— O! dobrze! — dobrze, — wiążcie mnie, bijcie, ja z wami iść chcę!...”  
(Witold do siebie.) — „Ojczy Szymonie! przebacz mi, — jam ją kochał nad życie, — jam ją czcił jak świętą, — jam nie wiedział, że mą — miłością plotą jej i sam na głowę wciskam męczeństwa cierniową koronę!...”  
— „No paszli won! prędzej! — Zniecierpliwiony, — popchnąwszy Witolda, zawołał kozak. —  
„Poczekajcie chwilkę! — Poczekaj Witoldzie! — Niech ślady krwi twojej wryte tu pozostaną, — będą one mówić o tobie pokoleniom przyszłym! —” — Jadwiga macza rękę w krwi płynącej po czole Młodzieńca — i pisze na skale. —...  
— Witold nic nie widział — nic nie czuł, — o! bo wtenczas, gdy on w najwyższym zachwycie ducha wznosił się w niebiańskie przestworza z duchami wielkiej przeszłości, — wtenczas, — gdy miłość Narodu, Ojczyzny, zdrojami promiennymi z Nieba zstępowała w zboliałe serce jego — wtenczas, gdy — wielkiej sławy

gloryolą płonącą zwątpienie z duszy starganej wygnane zostało..... wtenczas być obudzonym,  
— zdradą! — oh! to był cios okrutny, — nad siły ludzkie, — jęknął rozpaczliwie Witold w bohaterskiej duszy — i niemoc bezwładna go ogarnęła. —  
— Zemdłonego kozacy — włożyli na wóz,  
— a obok wozu pędzili na sznurze uwiązaną Jadwigę. —  
— Reszta kozaków i nadeszłe z wiosek chłopstwo — za rozkazem żołdactwa zagrzebywali umarłych, — konających i żywych jeszcze, bezwładnie na pobojuwisku pozostałych. —  
— Za oddalającymi się długo jeszcze jęczały mogiły. —...

\* \* \*

— Wiele czasu, — śniegi i deszcze niezmywały napisu na skale krwią wypisanego: — „Przechodniu! idź powiedz Polsce, żeśmy tu polegli posłuszni Ojczyzny rozkazom!” —

## OBRAZ V.

### V.

Po świecznikach, pająkach świec mnóstwo płonie i odbija się tysiącem światła w pryzmatach tęczy krysztalów i ogromnych zwierciadeł — oświetlając rząd komnat, bogato, — poważnie przybranych. —  
— Lecz choć zwoje kwiatów zdobią w barwy majowe ściany, — lecz choć posadzka błyszczy się jak w słońcu wody przerocze, — jakby czekała — czarodziejskich tonów muzyki, — by po niej szalonym wirem popchnięte — przesunęły się, — w gazach, kwiatach, w bieli jak mgły srebrne, — w różach jak w jutrzeńki szatach, — widzenia rajskich snów w nieba spowite błękicie — i w rozmarzonym swym przelocie — odbiły się, — przejrzały w jej zwierciadlanym licu...Lecz choć wszystko zdaje

się zapowiadać wesele, — duch jednak jakiś ponury — wieje z sufitu, — ze ścian, — z okien olbrzymich — i tęsknota samotna, blada, z rozpuszczonym włosom i łzą w oku zasiadła w cieniach laurowych drzew i myrtów...

— Otóż i drzwi wchodowe na rozścież się roztwarły, — komnaty zaczynają się napełniać. — Jedna, druga, trzecia, — dziesiąta, — dwudziesta! — osoba weszła, a wszystkie w czerni od stóp do głów, — jakby duchy smutku, — cicho, powolnie, milcząco stąpają. — Czyto na pogrzeb?... czy po płacz, jęki, modlitwy?...

Czy to przybytek boleści, — rozpaczy — tak rześisto oświetcono, — tak uroczoko przybrano?... Nie! nie, — to wieczór u Xiężnej Edmundowej, — wieczór u polskiej damy — i dla Polaków...

— Naród cały w boleściach, — co chwila tysiącami ofiar zaściela pole walki o wolność. — Co chwila w łonie tego narodu — tysiące wdów, sierot tysiące się rodzi. — Żona straciwszy męża — wdowa już, wysyła syna za ledwie broń mogącego udźwignąć; — syn zginął, — sama bieży, grzebie trupów, — rannych z pola zbiera i tych zdrowiu wróconych nazad do boju

wyprawia. — Jedne poległy ofiary, — drugie, z pewnością w sercu niechybnej śmierci — idą, idą — zostawując dom, żonę, dzieci, mienie; — wszystko wrzucają w pałający ołtarz Ojczyzny

— i same nań z odwagą, — z radością wstępują, — zostawując dla tych, którzy za nimi zdążają — ponad dymem ofiarnego stosu — echa nadziei niezachwianej w przyszłość!... —

— Żałoba, — smutek, — ciernie, — łzy i krew wrogów — ot! co Polakowi zostało się po przodkach w spuściznie... To też Naród wdział na się — czarną suknię — ubogą, jak włosienica pokutnika, — który jednak promiennych szat Nieba — oczekuje!... —  
— A otóż i on! Xiążę Edmund — w czarnym polskim stroju, — lecz w jakim nieładzie!

— Czegoż taki blady? — chyba on z grobu wstał? — Oczy niespokojne, — błakające się,

— włosy rozrzucone po spotniałem wiszą czole; — ręka drży biała, jakby martwa; — wchodzącym ją podaje witając ich z roztargnieniem, — bez myśli... —

— Xiążę się oddalił, stanął pod filarem, oparł się o niego włożywszy rękę za nadrze, — gdzie się widocznie — serce gwałtownie bilo.

— Czyż to wzruszenie? — Cóż to za niepokój?...  
— W tej chwili jedna z kobiet przybyłych usiadła do klawikordu, — klawisze się poruszyły, — zawołały magicznym ruchem na struny, — te się przebudziły, drgnęły, — i po wysokich komnatach przebiegł ton drżący jeden, za nim drugi — i inne i akorda pełne, — wielkie — zabrzmiały — i wylała się pieśń wołającego Narodu: „Boże coś Polskę!” Za tonami klawikordu głosów kilka się złączyło w hymn święty, — święty uczuciem, które go z piersi zbolełych na jaw wydobyło. —  
— Echa tonów się rozwiały, — klawikord oniemiał, — i znowu szelest przesuujących się osób i cicha rozmowa — rozchodziły się po obszernych komnatach. —  
— I znowu drzwi się roztwierały — i nowe wchodziły osoby, — salony coraz więcej się napełniały, — szmer rozmowy coraz się wzmacniał. — Wtem weszła kobieta — młoda; — długa, czarna suknia uwydatniała jej wielką urodę. — Jasne złote włosy spadały splotami w nieładzie na jej, praxytelem chyba w marmu-

rze wyciosaną szyję, po której aż na piersi spadał długi sznur pereł, wielkiej piękności. —  
— Kobieta — powiodła okiem, w którym się całe niebo polskie jasnym błękitem odbiło; — szukając zapewne pani domu? —  
— Xiążę, przebudziwszy się z zamyślenia, ujrzał ją i podszedł szybko ku niej. „— A! jak się ma Hrabina! — co za szczęście! — co za szczęście! — może mi Pani wiadomość jaką o naszym dzielnym oddziale przynosi! — Niepokój mnie trawi piekielną męczarnią, — Hrabino! Hrabino! — tydzień cały bez wieści o nim, — bez wieści o półtora tysiącu walecznej młodzieży!...” Rzekł śpiesznie, gorączkowo, przytem ściskając jej małą, białą rękę.  
— „Bardzo mi przyjemnie widzieć Cię Xiążę, — lecz nierównie mi boleśniej, że ci żadnych wiadomości dać pomyślnych nie mogę; — „ja zupełnie z innych stron przybywam. — A Xiężna?...”

XIĄŻĘ EDMUND (podaje jej rękę).  
„Służę Hrabinie. —”  
(Wprowadza Ją do drugiego salonu).

XIĘŻNA.  
„Ach! Hrabina Felicja! — jaka miła niespodzianka!” —

HRABINA FELICJA.  
„Niespodziewała się zapewne Xiężna widzieć mnie tak prędko? — Dziś wróciłam z mej podróży fantastycznej — i dziś do Xięstwa śpieszę. — ” —

XIĘŻNA.  
„Jak jesteś dobrą, — dziękuję z serca. — (Siadają. — Xiężna do drugiej damy wpółgłosem:) — „Jaka ona ładna, — jaka miła, — chaque jour plus jolie.” —

XIĄŻĘ EDMUND.  
„Hrabina, nazywa podróż swoją fantastyczną? — Powiedz Pani raczej bohaterką... Jak że się udało? A Brat Pani? —”

HRABINA FELICJA.  
„Ach! bardzo chory, — zaledwie żyje, cały w ranach, — a przytem tak wielce

zmęczony. —"

HRABINA MARYA (porywczo).

„O! Pani, — opowiedz nam, prosimy, zaklinamy, twoją podróż, nieodmawiaj nam tej rozkoszy; — bo mówią, żeś sama jedna w moskiewskim była obozie — ? — Jaksie się na to odważyła, będąc tak młodą?...”

XIĄŻĘ EDMUND.

„Błagam cię Hrabino, — to wielce dla nas „ciekawe. —”

WSZYSCY (razem).

„Prosimy — prosimy. —” —

HRABINA FELICYA.

„Ale i owszem, — jeżeli tylko Państwo słuchać chcecie; — rzeczywiście, że podróż ta jest dosyć niezwykłą dla kobiety. — Otóż: jak mi dano znać, że brat mój Wacław, — którego tak kocham, — ranny, w niewolę się dostał; — powzięłam zaraz postanowienie, jakimby nie było sposobem wyzwolenia go — z niechybnej podróży na Sybir. — On taki młody, słaby, pokaleczony, umarłby gdzieś na drodze idąc po tych śniegach bez końca,

w kajdanach, jak zbrodniarz na łańcuchu do drąga przykuty! — Tak to bowiem mówiono mi, że jeńców, schwytanych na polu bitwy, odprowadzano na miejsce wygnania, w kraje śniegów i lodów — bez słońca, nieba, — w kraje męczeńskiej śmierci, na wolnym ogniu. — Cztery dni temu, w deszcz, — w noc burzliwą, straszną, jakby na jakąś z duchami wyprawę — wyjechałam z miasta ku granicy; — w kilka godzin byłam na ziemi zasłanej niezagrzebanymi jeszcze trupami. — Oh! to okropne było, nie tylko dla kobiety! — Księżyc świecił w pełni, — ja jechałam sama jedna ze służącym tylko, — powóz ciągle trącał o martwe ciała na drodze we krwi tonące, — to objeżdżać musiał, po zaoranej ziemi stosy trupów, i nieraz w tej objazdce wjeżdżał i grzązał na świeżo usypanej mogile. — Konie pomału stapały po kolana w błocie z krwią zmieszane, — po drodze w wierzchołkach drzew wiatr szumiał — a na nich gdzieś w księżycu promieniach świeciły — wyobraźcie sobie, — ach! to okropnie! — truchleją, drętwieją teraz na samą myśl, — świeciły, chwiejąc się w wichrze, ciała nagie wisielców! —

Gałęzie skrzypiały wiatrem i ciężarem uginane, — a mnie się zdało było że to oni, — ci nieszczęśliwi — na mnie wołali, wołali ratunku przez ściśnięte gardła! — Choć mi nieco wstyd — przyznać się muszę, że kilka razy chciałam krzyknąć na woźnicę, kazać zawrócić konie i — nazad odjechać; — lecz siły nie miałam i zawołać na woźnicę i powtórnie się spotkać z temi okropnymi trupami twarzami. — Księżyc się znowu skrył poza chmury, — ciemno się, — czarno zrobiło do koła, — deszcz, z błyskawicami i burzą, lać zaczął, — ja byłam do nitki zmoczona. — Gdy nagle patrol kozacki zatrzymał nas; — zrewidowawszy powóz mój, że broni nie wiozę, gdym im oświadczyła odważnie, że chcę się z Generałem widzieć w obozie: okrążyli mój powóz i w kilkanaście minut znalazłam się w wiosce spalonej, wśród której rozstawiony był obóz, w dymie pogorzeli i błocie. — Generał, jakiś tam książę, stał we dworze; — natychmiast kazał mnie wprowadzić do swojej kwatery. — Nie dał mi długo czekać, wyszedł do mnie, człowiek jeszcze młody,

— nie wiem czy piękny, — lecz bardzo grzeczny, nad moje spodziewanie..."

HR. LUDWIK (przerywając półgłosem.)

„C'est bien naturel! Pour une personne si belle, si séduisente..."

HRABINA FELICYA (z oburzeniem.)

„— Mylisz się Panie Hrabio! — Polka dla nich ze wzrokiem nieubłaganej nienawiści i wzdardy, nietylko piękną, — lecz zdaje mi się nawet znośną być nie może, jak znośnym być nie może wyrzut ciągły sumienia... — lecz dalej, skończyć muszę. — Otóż, gdy mu cel mojej podróży opowiedział — zachmurzył się nagle, — widocznie zmartwił i rzekł mi z największym współczuciem: — „Brat Pani jest w moim obozie rzeczywiście, ukrywać jej nie mogę, że jest mocno rannym, — i dla tego najprzód nie wiem czyby był w stanie znieść podróży, — a powtóre, że uwolnić go prawie w mocy mojej nie jest; — jednak, proszę mi wierzyć honorem żołnierza, ręczę, że wszystko uczynię dla Pani, co tylko w mej możności będzie. — Teraz zapewne

Pani zechcesz go odwiedzić, — proszę się chwilkę wstrzymać." — I wyszedł z pokoju; — wkrótce wrócił ze starym, siwym, jak gołąb, mężczyzną. — „Oto, jest doktor oddziału, — przedstawiam go Pani, on ją zaprowadzi do chorego i widzenie się z nim ułatwi. — Zegnam Panią, — życzę powodzenia i dobrej drogi. — Proszę być wielce ostrożną i zwinną, — szepnął mi te ostatnie słowa do ucha. — Za godzin kilka, nad ranem — już byłam z Wacławem razem na naszej ziemi." —

HRABINA MARYA.

„A! to dziwne bardzo, — jakimże sposobem? Najważniejszego Pani nam nie mówi."

HRABINA FELICYA.

„Prosta rzecz, — Generał — dał tajemne polecenie doktorowi wydania mi w ręce chorego jeńca. — Doktor, przyjaciel Generała, do tego dobry, poczciwy człowiek, podejrzewałam, że Polak, sam go ze mną do powozu wniósł; — wszyscy spali, — cicho było do koła obozu, — nikt, prócz niego, nie widział. Gdy ranny był w powozie, doktor zawołał

z odwachu kozaka, sierżanta, — i z rozkazu Generała kazał mu bardzo srogo mnie aż do granicy przeprowadzić. — I oto cała moja historia." —

XIĄŻĘ EDMUND.

„A brat Pani, — gdzie teraz jest — i jak jego zdrowie, — czy można go odwiedzić?—"

HRABINA FELICYA.

„— Mieszka u mnie, — chory, — ledwie żyje, — tyle ran, a w dodatku takie zmęczenie w zimną, wilgotną noc pogorszyło stan jego: boję się o jego życie. — Nic prawie mówić niemoże, jednak — dziś już mi szeptał, że prosi Boga o rychłe zdrowie, by nazad do narodowego wyruszyć obozu. —"

XIĄŻĘ EDMUND (rozpromieniony.)

„— Co za wielkie dusze! Co za serca! — Co za naród!..." —

HRABINA MARYA.

„— Teraz ja mam historią do opowiedzenia, — czy Państwo zechcą jej posłuchać?—"

WSZYSCY (głośno razem.)

„Słuchamy, słuchamy, słuchamy. —”

XIAŻĘ EDMUND.

„Na kolanach słuchamy! — wszystko co z twych ust szlachetnych wyjdzie! — bo wszystko jest miłością kraju natchnione, — sercem wielkiem, — wspaniałomyślnem dyktowane! —”

HRABINA MARYA.

„Ach! wstrzymaj się w zapędzie! — Co za pochwały! — Edmundzie! Edmundzie! — kuszysz mnie, gotowam jeszcze stać się zarozumiałą! —

„Moja historia krótka, — musicie już o niej wiedzieć wszyscy, — nie nowa, — nie wesoła, — oh! smutna, bardzo smutna. — Tydzień temu na ulicy w Krakowie zamordowano biednego, — poczciwego człowieka, — ojca siedmiorga dzieci! — Za co? — Nie wiem — czy zasłużył? — nie wiem....—”

XIAŻĘ EDMUND (przerywając gwałtownie.)

„O nie! — niewinnie, — zupełnie niewinnie! — To się stało pomyłką, — zaiste: gorzka pomyłka, — niepoprawiona, aż przed Sądem

Boga! — Zamiast szpiega, — zabito fotografa. —”

HRABINA MARYA.

„Biednego, — cichego człowieka — z dnia na dzień dla swej drobnej zarabiającego rodziny. — W nędzy był ze swą dziatwą za życia; przy jego nieustannej pracy, po całych nocach i dniach, — zaledwie wykarmił swe pisklęta. — O! możecie sobie wystawić — rozpacz tych biednych na widok zabitego Ojca! — O! możecie sobie wystawić rozpacz, z tamtego świata, duszy tego Ojca tkliwego, — gdy widział całą swą rodzinę w dzień swojej śmierci bez kawałka chleba w ustach, — idącą we łzach, samych, za jego trumną na cmentarz! — Dzieci te, z których najstarsze trzynaście, najmłodsze dwa lata zaledwie liczy — bez matki, — bez nikogo, — może bez dachu, — umierające teraz może są z głodu! — Panowie! Panie! — Każdy z nas ma tutaj przy sobie więcej daleko jak oni potrzebują, — każdy z nas ma coś więcej przy sobie jak to, co mu do koniecznych niezbędne jest potrzeb, — złożmy się na serca jałmu-

żnę; — dzieci te za nasze rodziny modlić się będą...”

— Zaledwie te słowa dokończyć zdołała, — już przed nią znieśli lotem błyskawicy — stos bransoletek, zegarków, kolczyków, pierścieni, szpilek, — pieniędzy. — Hrabina Felicja swe piękne z antenatów odziedziczone perły, całą barwą promienną ich wschodniej ojczyzny płonące, złożyła w daninę, na ulgę niedoli i nędzy. — Szmer zachwyty rozległ się po sali, — książę jej rękę ścisnął konwulsyjnie, — Hrabina Marya spojrzała wzrokiem wdzięczności, do wyrażenia której słów niestać już mowie ludzi. —

— Na uboczu stojący — widz tej sceny (szlachetnej) — stary sługa xięcia — łzę obtarł wylotem rękawa, siwy wąs poprawił, — zdjął ślubną obrączkę z palca i z kieszeni zegarek srebrny z łańcuchem wyjął; — zbliżył się po cichu — nieznacznie i drżącą ręką nieśmiało położył na stole swój dar, — cofnął się szybko, — zdawało mu się, że w tem zamieszaniu nikt go niespostrzegł; — lecz hrabina Marya widziała, — o! widziała dobrze i cała się rozjaśniała w radośnem uczuciu:

Jako i ty — także!?!..." zawołała. —

STARY SŁUGA (kłaniając się nisko.)

„Z przeproszeniem Godności, Jaśnie Oświeconych Państwa, za mą śmiałość, — to dla biednych, — dla sierot, — to mi się zdało, że od sługi ofiarę przyjąć się godzi..."

HRABINA MARYA.

„O! dziękuję Ci poczciwy, dobry człowiecze! — ten dar stokroć jest większym od naszych, — ta jałmużna stokroć miłsza Bogu. — „On Ci ją szczerze i Twej rodzinie policzy..."

XIĄŻĘ EDMUND (uderzając go po ramieniu.)

„Dobrze, — dobrze, poczciwy Bazylu, — „tego Ci i Twoim dzieciom nigdy niezapomnę." —

DRUGI SŁUŻĄCY (zbliża się do hrabiego Ludwika.)

„Jakiś człowiek żąda widzieć się z Panem Hrabią! — czeka na dole." —  
(Hrabia Ludwik wychodzi.)

HRABINA MARYA (składając klejnoty i pieniądze.)

„A więc w mgnieniu oka — dla naszych biednych sierot zebraliśmy — cały majątek;

prawdziwie to tylko u nas w Polsce — serca takie. — Jutro zaraz sama jadę do Krakowa i dalszym losem tych dzieci zajmę się..."

XIĘŻNA (przerywając.)

„Dobra Maryo! — to niebędą pierwsze..."

XIĄŻĘ EDMUND.

„I nie ostatnie, — ręczę za to." —  
(Hrabia Ludwik szybko wchodzi.)

HRABIA LUDWIK ( do xięcia.)

„Edmundzie, posłaniec mój wrócił. —"

XIĄŻĘ EDMUND (bledniejąc, drżącym głosem)

„Co? — Co? — Wrócił z obozu? — jakież wieści? mów prędzej! —"

HR. LUDWIK (spokojnie.)

„Moskale w liczbie czterech tysięcy zaskoczyli w wąwozie z góry; — mało co z oddziału naszego ująć zdołało, — wszyscy zginęli. —"

XIĄŻĘ EDMUND (okropnie.)

„Jak to zginęli?! Wszyscy od razu?! — Ty się chyba mylisz! — to być nie może! i ty! to tak zimno mi mówisz!? Ludwiku ty zemnie żartujesz! — Półtora tysiąca młodzieży —

kwiatu narodu! — jednego dnia zginęło. —

„— Ja ich wygnałem — ja sam! — I co dzień do drzwi mych kołacze tłum matek, żon, siostr, dzieci! — wieści żądając. — Ha! ja im powiem zimno, — bezdusznie — wszyscy zginęli!"... — Wszyscy zginęli!? — To być niemożliwe! — Ludwiku, ta wieść fałszywa być musi!? — „A on! a Witold!?!..."

(Hrabia Ludwik wyprowadza go do drugiego pokoju, — wychodzą).

Na tę głośną rozmowę, — wszystkie osoby do koła chodzące, — siedzące, — rozmawiające — od razu umilkły, — jakby osłupiały, — zadrżały, — zbladły, — za wychodzącymi — pognęły ponuro, w grobowej ciszy — przez wszystkich wymawiane słowa, — wszyscy zginęli, — wszyscy zginęli, — wszyscy zginęli. —" — zginęli... — ..."

(W drugim pokoju) XIAŻĘ EDMUND (porywczo)

„Cóż On? cóż On? — Nerozumiem! — nierozumiem! mów jaśniej! —"

HR. LUDWIK (szepce mu z cicha do ucha, — twarz księcia z bladej, z siniała cała, usta drgać poczęły — a w nich zęby zgrzytnęły raptownie.

XIAŻĘ EDMUND (ze wzruszenia gwałtownego, stłumionym głosem).

„To! to! ten sposób!? — To, to, ten sposób twój, ratowania sprawy!? — Jaktó!? — Zdrada — podłość...i... —"

HR. LUDWIK (cisnąc mocno xięcia za rękę).

"De grâce, patience Edmond, — Vous etes fon! Calmez vous! — bądź spokojnym, — Il n'y a rien acraindre, ni a risquer, pas de complice! — Stefana na rogu ulicy zabił jakiś z jego oddziału, z pistoletu w łeb mu palnął, — a więc rzecz jak w wodę..."

XIAŻĘ EDMUND (okropnie).

„Milcz! milcz! Nikczemniku! — precz z mego domu! — Ach! Boże ja oszaleję! — Ty haniebny zdrajco! — ty mnie do takich podłości wplątałeś! — Tyś mą rękę w mordzie, w ohdzie, podstępem umaczał! — Słuchaj! — ja krwi twojej chcę — pragnę, — ja się w niej wyżej głowy skapać muszę, — albo moją do kropli wytoczyć, by hańbę zmyć! — Nie! nie! złoczyńco haniebny, — ja jej nigdy z czoła mego niezmażę! — Oh! — ja się ciebie wypieram! — Ja ciebie przeklinam! —"

Słuchaj! krwi, krwi, krwi, twojej — hej noża! noża, w mym domu Cię zamorduję! Masz to!! —"

(Podnosi rękę, by go w twarz uderzyć. — Hrabia Ludwik uchyla się i odskakuje.

— Xiążę pędem wychodzi, — zbiega po wschodach, — trąca się to o ścianę, to o baryerę — mało nie upadnie; — a bladej — siny — zielony, — włos na głowie mu się najeżył, — kroplami pot spływa. — Nogi pod nim drżą, — chwieje się, — przez zaciśnięte zęby łkanie konwulsyjne się wyrzywa. — Odmyka drzwi od swej komnaty — leci i uchwyciwszy głowę swą obydwu rękoma, chce upaść na łóżko, — pada na ziemię z łoskotem, — ściągając na siebie ciężki z nad łoża baldachin. — „Oh! jam zbrodniarz!..." zawołał głosem okropnym — i — zemdłał. —

— Od huku i głosu — pochwiały się antenaty na ścianach, — echo przeraźliwie jęknęło i skonało w złocistej piersi starej zbroi...

— Na górze z salonów na krzyk Xięcia zbiegli się goście, damy, i mężczyźni, — słudzy, — pytają przestraszeni — Hrabiego Lu-

dwika o przyczynę. — Hrabia Ludwik zmieszany, bladej, spotniały, drżący cały



odpowiada: — Dowiedział się o rozbiciu hufca: — Il est devenu complètement fou:"  
(Do siebie wychodząc na ulicę). — „Et s'il — savait encore qu'il était  
prince:?..."

## OBRAZ VI.

„— Lasciate ogni speranza o! voi  
ch'entrate..." ect. —  
Dante. — la Div: Com.

## VI.

Ponad usniętymi cieniami murów i okopów zasiadła cisza nocna, — smutna,  
zamyślona, — o bladym licu — i ciemnym, w gwiazdy i mgły srebrne tkanym  
płaszczu; — duma w nieskończoność patrzy nieruchomie, — z jej oka łza spłynie i  
— spadnie promiennym zjawiskiem na dalekie wody. — U stóp jej szemrzą —  
tajemniczą mową, głębie — rzeki. —  
— Wiatr wstrząśnie falami przestrzeni bez granic — i wtedy się wzruszą cienie i  
zadrza, przebudzi się echo w objęciach ciszy uspione — i przeleci ponad murami,  
ponad rzeką — falą cichych westchnień, tonów, głosów, — krzyków niezrozumiałych,  
— niepojętych, dawno przeszłych — a zatrzymanych ponad tym ziemi zakątkiem, w  
swej ku gwiazdom podróży...—

— Wstają cienie, rosną ku niebu, — krążą, jedne ponad drugich się wznosząc; to  
nazad, ku ziemi ciemnościom się chyląc, — mieszają się, rozchylają zwojem  
postaci wiotkich, drżących, mglistych, w promieniu księżyca kąpiących się w  
rozigranych sennern marzeniem falach, — wracają z świetlanej wędrówki — i  
zasiadają milczące w cieniach nocy, — słuchać światów dalekich uroczystego hymnu  
— wieczności...—

— Cóż to za ziemi zakątek? — Cóż to za zlepisz mrowisko, — że ponad nim  
zaświatnych tonów gwar taki?... Czy duchów, te roje przelotne, — to dusze są  
może, które wyjścia bratnich dusz drugich z poza tych ciemności czekają, — by  
razem — chórem, po dźwiękach Archanielskiej pieśni, wzlecić do wspólnej dasz  
czystych i światła Ojczyzny — do Nieba?...—

— Czy może siedlisko to łez jest i jęków, — że wnijscie doń tak straszne, —  
ciemne, jak otchłań przepaści, ponad którą zawisło wieszczę słowa boleści, bez  
granic przeznaczenia.

— „Zostawcie wszelką nadzieję, — o! wy co „tu wchodzicie!..." ...?....

— Przez małe okienko, — przez rdzą porośle kraty, — radując pająka w  
pustelniczej sieci, — słabe światło się wciska, po ścianach przebiega i oświeca  
małą celę — wybieloną, pustą, głuchą. —

— W rogu, pod oknem, w cieniu łóżko stoi, — a przed nim na stoliku dzban wody. —  
kilka sucharów, — pokrwawionych, płóciennych kilka bandaży. —

— Cichość grobowa do koła, — tylko ją przerywa oddech ciężki — i od czasu do  
czasu boleśne, jęklive westchnienie, leżącego na łóżku człowieka. —

Na garści jasnej słomy — widna postać usniętego. — Płaszczem przykryty, głowa tylko przewiązana bandażem białym, po którym od czoła przebijają się plamy zeschniętej krwi, — wsparta na rękę, długich, czarnych włosów okolona splotami, rysuje się w cieniach wyraźniej — wyrazem cierpienia i bladością lica. —  
— Naprzeciw okna i łóżka, — jakby grobu wieko, czarne, okute drzwi ciężkie, wczepione w białe ściany izby. — Drzwi te nieme, z drzewa i żelaza; — tysiącem oczu patrzą w duszę tego, za kim się one zamykają. — Drzwi

te, to wymowny świadek — długich tortur samotności. — Drzwi te gniotą duszę ciężarem niewoli, — one mówią, widzą — słyszą, — żyją; — żyją życiem, narzędzia przemocy, — zemsty, życiem żywego grobu... — W nich okienko kwadratowe wyciosane, — grubą przedzielone kratą. —  
— Gdzieś, jakby poza murem celi, — poza drzwiami, słychać słaby odgłos stapań, — powolny, — jednostajny. — Odgłos kroków nagle ustał, i w okienku drzwi — ukazała się twarz rumiana i dwoje siwych oczu; — spojrzały w stronę łóżka, badawczo, smutnie i znikły — i znowu odgłos stapań rozlega się wśród ciszy. —  
— Promień światła z podłogi wspiał się po ścianie i stanął przed twarzą usniętego; — ten się ocknął, — jęknął i podniósł się z łóżka.  
— „Oh! już dzień, — dobre słońko! — zawsze mnie budzi; — dobrzy ludzie, że choć mi się z jednym niewzbronili widywać przyjacielem...” —  
— Chciał wstać na nogi, — pochwał się, porwał za czoło i — upadł na łóżko. — „Oh! oh! — już tak osłabiony jestem? — Boże, co

za boleści! — daj mi cierpliwości do końca!...”  
— Wziął dzban ze stołu, przechylił go i napiwszy się wody, uczuł- się widać silniejszym: bo wstał, zwrócił się ku oknu, przez które daleko, wysoko, kawałek Nieba jasnego — przeglądał; wsparł się o ścianę i począł cicho się modlić:  
"—...Panie! Panie! który jesteś na niebie i ziemi Ojcem wszystkiego, co czuje, — co kocha, — co cierpi, — co żyje, — wejrzyj w mą duszę — oh! bo w niej ciemno, rozpaczliwie, słabo; wejrzyj promieniem łaski, Twojej wielkiej miłości. Boże mój! któregom prosił, czcił, kochał, — z pieluch wydobyty, na kolanach Matki widziałem Cię w Niebie swoją własną niemowlęcą duszą, czułem i kochałem Cię swoim własnym sercem, — choć na ustach Matki, chwytałem słowa modlitwy ku Tobie. — Jam Cię czcił umęczony w ciemnościach podziemiów, — jam Cię miłował stąpając w strumieniach krwi bratniej i własnej, — o! i teraz, teraz, ja nędzny, słaby, — ja Cię miłuję Panie, ja Ci za cierpienia dziękować pragnę Panie! Panie! udaj mi na to siły...” —

— Ciemno mu się w oczach zrobiło, słabo i zwałił się na podłogę, swym ciężarem trącił stół, — ten upadł i dzban na nim stojący w kawałki się rozbił. —  
We drzwiach klucz zgrzytnął, zawiasy zardzewiałe chropowato skrzypnęły i wszedł szybko, — żandarm stary, czerstwy, rumiany, lat długich szereg zasiał się zmarszczkami po szerokim czole i siwizną po krótko przystrzyżonych włosach.  
"— Ach! — Cóż to znowu!...” Szepnął — i szybko podskoczył ku omdlałemu, podjął go silnym ramieniem i położył na łóżku. Z rozbitego czerepu nabrał w garść trochę wody i nią prysnął mu w twarz raz i drugi.  
— Więzień się ocknął, oczy otworzył, — westchnął głęboko. — „Cóż to?” rzekł, podnosząc głowę. "pocziwy Kuźmo, znowu mi słabo, — coraz gorzej. —" —  
„To też niewstawaj Panie, wszak Ci lekarz niepozwolił. " —  
„Ej! — i cóż mi z tego przyjdzie, — nibyż to ja niewiem, do czego to wszystko mnie prowadzi, — czy zdrowemu, czy choremu je-

dnakowo przyjdzie się umierać — i to pewno prędko..."

„Biedny człowiek, — biedny," mrucał pod nosem żołnierz, udając że nie słyszy, co mu więzień mówi. — „Ot! narobiłeś mi Pan szkody, dzban, najładniejszy mój dzban w kawałki! — Ale mówią że to dobrze, jak się w domu tłucze. —"

"Ale nie w więzieniu" — szepnął młodzieniec. —

"— No, poleż no Panie! — ja ci śniadanie przyniosę, —" rzekł, wychodząc z celi żandarm. —

"— Poczciwy starcze — (mówił do siebie więzień, patrząc za odchodzącym) wiek twój styrałeś w boju, — bratałeś się odważnie ze śmiercią, — nie jedna ci kula we wnętrzości się dostała; — a teraz, gdybyś może białą twą głowę, gdzieś wśród rodziny twjej chciał, skłonić, — użyć spokoju po burzach i znojach, walkach i cierpieniach, każą ci, jak psu staremu, co już kąsać nie może, na łańcuchu — strzedz więźniów i katować ich, — spać im niedawać — nawet samotnie cierpieć. — Oh! żeby nie to w drzwiach okienko, —

żeby nie ten świadek mych boleści! — lżej by mi było — tu konać powoli. —"...

\* \* \*

— Dzień przeszedł; — cienie wieczoru zasiadły w kątach izby nieme, samotne. — Po korytarzu echo kroki żandarma roznosi, a w celi więzień się przechadza powoli, chwiejąc się, to usiadzie na słomie, to cicho, niedosłyszanie, to głośno mówi, choć nikogo niema, prócz niego, prócz ciszy, prócz drzemiącego u okna pajaka. — „— I cóż się stało z tą życia jednostką, — zesłaną z dusz wszystkich ojczyzny w to nędzne ciało, — które dziś upada ze słabości, z ran gnije — i ciężarem niemocy swej ducha gniecie, niweczy? — Czyż duch i ciało jestestwo nierozłączone? — Czyż duch niemoże być mocen i żyć siłą swą całą — w konającym ciele, kiedy jest innej ojczyzny zesłańcem, na ziemię ciała, materyi?... — I cóż się z życiem mem stało? — Czy tu się nazawsze skończyły marzenia moje promieniste!?! — Nie, — jeszcze nie tu, za godzin kilka, dni może kilka skończą się w czarnej ziemi wilgo-

tnej, cuchnącą zgnilizną nicestwa! — Czyż duch dalej czuć życia przeszłości nie będzie?

...O! tak, — dusza opuszczając ciało, zapomina prześnioną z niem przeszłość, — jak więzień na wolności, godzin długich, samotnych cierpień zapomina. — Ha! to i cóż po życiu! — po marzeniach dopiętych! — po wielkości rozkoszy! miłości rodziny — Ojczyzny, ba, — Boga nawet na ziemi! — kiedy po nich, po chwilce jednej czucia — wieczność zapomnienia i garść zgniłej ziemi zostaje?...

Nie! nie! tak być nie może, — to kłamstwo, podłe kłamstwo! — Ciało się rozsypuje, rozwiewa: bo nikczemne i małe dla ducha objętości, a duch ulata — gdzieś na gwiazdy, — na światy, w nieskończoność przestrzeni i czasu, — samoistny, wielki, z pamięcią imienną swej przeszłości; — pamięcią spromienioną w jednolity obraz — jasnowidzenia w przeszłość i przyszłość bezgraniczną!... Nie darmo duch tęskni, przeze w piersiach, targa ciasnem więzieniem: o! bo go tam! wysoko, — rozkosze nieśmiertelne niebian czekają. — Ludzie na ziemi jedni drugim życie odbiegają, — gniotą ciało, walczą o swobodę — o

wolność walczą, — zaścielają pokoleniami ziemię warstwą trupów i — upadają giną w niewoli. — Nie! nie! to nie ludzie o wolność walczą! — To duch nieustannie ku wieczności się pnący, — oręż w ręce jednym, drugim kajdany, intrygę, niepokój, jarzmo kładzie — i do boju zagrzewa. — Świat materii, w walce z materią cały, bo w nim duch, nadświatny mieszkaniec, tli się nieustannym ogniem żądy, myśli, — uwięziony, pragnie swobody! — I duch z ciałem wojnę toczą, u stóp wieczności kończą spór i — duch zwycięża — nieśmiertelnością!... — O! tak, — śmierci! śmierci, dla ducha mego życia, — rozkoszy zeslij mi Ojcze wszech duchów! — Wątku mej nieśmiertelnej iskry życia!... Czemuż przez to okienko choć jednej nie widzę gwiazdy, — przyszłego, przelotów, mych światła. — Ciemno na około, — ciemno w duszy, — czarno, — ach! ciemno — rozpaczliwie w losach braci mych, — kraju! — Czyż się to na tem skończyły walki nasze, — cierpienia, — ofiary, — morze łez przelanych wdów, sierot i męczeństwa ludności całej!?... — Naród się dźwignął, — jęknął i — zapadł w niemoc na nowo, — na jak dłu-

go?..... — A ja! — bohater mych marzeń i snów mych rycerskich — tu konam jak trup żywy jeszcze w grobie, — lecz trup bo skonać musi, — bo przysypany — nieszczęścia przemocy niedźwigniętym ciężarem! — „W piersiach, w głowie huczą mi boleści, — wyrazem fale niepojęte, — niezmierzone przyszłości, — a przedemną rozpacz okropna, gorączką konania dysząca, — w łachmanach naga, — drżąca z zimna, biała, zielona cała, drgająca dreszczem śmiertelnym, włosy rozczochrane, rozkrwawione — ona je sobie wydziera, drze ciało w kawałki, — krew czarna, dymiąca się sączy, kości z rozkrwawionych wystają piersi... oh! precz, — precz! — widziadło ohydne — precz! — precz...” — Długo trawiony jeszcze gorączkowemi myśli, przewracał się Młodzieniec na swem posłaniu, nareszcie sen skleił znużoną powiekę, a przed zboląłą, rozpaczliwemi widziadłami duszą, Anioł spokoju, zbyt długiej litując się męczarni, jakby raję przedświem, roztoczył obrazy niebiańskiej rozkoszy. — W promieniste objęcia otulił duszę biedną i wzleciał ponad ziemię wysoko, dale-

ko; długo pędził po mglistym przestworzu bez czucia, bez myśli, w chaosie. Nic widać nie było, prócz srebrnej mgły, — nic słyszać, prócz dalekich z dołu westchnień, goniących za oddalającymi się i szumu tęczyowych niebiana skrzydeł...

— Nareszcie mgły się rozwiały, znikły drzące echa ziemskiego cierpienia, błękit, światło i dziwne dźwięki harmonii, rozległy się słabe, zaledwie jeszcze dosłyszane z dalszych fal błękitu. —

Co za tchnienie wonne, rozkoszne owiewa bezgraniczną tę przestrzeń do koła! — Jaka jasność uczucia nieznana! Miałżeby to być ów spokój dusz czystych, zapomnienie boleści, łez ziemskiego życia?...

Na około jakby obłoczków śnieżnych stada, — przelatywały ponad niemi gromady przejrzystych postaci; — każda z nich w górę ku sferom dalekim światła bez granic zwróconą była, jakby w extatycznym słuchu archanielskich pieśni. —

— Jak pełno, cała przestrzeń świetlana zaludniona przelotem, tych jasnych postaci i —

im więcej w górę się wzbijali, tem te postacie jaśniejsze, tem ich więcej było.

Niektóre z nich samotne zatrzymywały się przed niemi, chwilę, — jakby nową duszę bratnią poznawały i dalej w wibrującą Niebios przestrzeń uchodziły. „To

dusze Polaków smutne" — szepnął Anioł, — mową wyjętą z tych tonów, co brzmiały harmonią niebiańską do koła. —

— I długo tak, coraz wyżej, ku jasności się unosili, — dźwięki pieśni coraz się wyraźniejszymi stawały, a każdy ton pełny, wielki, — niepojęty ziemian — uchem zdawał się nieustawać, jakby się przenosił brzmieniem w około — w przestrzeń bez końca i nazad wracał skąd powstał...

— Wtem — jasność wielka, (zabłysła) rozlała się, ludnością prześwietnych postaci. — Jasność tryskała z nich środka, tak świetna — promienista, że się w oczach duszy Młodzieńca ciemno zrobiło; — o! bo dusze, zamknięte w ziemskim jeszcze ciele, blasku tego nieznoszą. —

„To wnijscie do Nieba. —” — Szepnął Anioł. —  
I uczuła olśniona dusza, że z objęć tęczo-

wych Zesłaniec Niebios ją wypuścił, — i czuła przerażona cielesnością swą, jak wraz z ciałem złączona, przez przestworza ciemne, bezduszne, pierwaj tak świetne, rozkoszne, z wysokości nadświatnych, pędem gromu ku ziemi leciała, potracając się o chmury dumne ponad nią zawisłe i już tuż, tuż, rozbija się z ciałem w kawałki; okropnie, straszno, w mózgu zgrzytnęło, czerep słaby pęka — rozleci się. —

Ach!... Krzyknął Młodzieniec i obudził się cały spotniały, a naprzeciw niego, prosto mu w oczy, na ścianie zawisły, patrzył ranny promień słońca.

"— Ach co za sen! co za sen! — A głowa, szumi — wre, pali się w niej! co za sen!

— Oto życie człowieka, mara szczęścia, wielkości, chwały, — a w końcu przebudzenie się, czarne więzienie i śmierć... oh! głowa mnie boli." —

Wstał z łóżka chwiejąc się i — dopiero gdy po celi powiódł wzrokiem, ujrzał stojącego przed sobą żandarma. Na smutnej twarzy wyraz niezwyčajnej malował się bóleści, — żalu, politowania. —

„Zleście spali, biedny mój Panie, — głowa

was boli, — a mnie jeszcze kazano was zbudzić i — do Niego tam zaraz przyprowadzić!..." —

„Ach! rozumiem — do indygacyi? — Służę ci, dobry mój Kuźmo, zaraz, — tylko się trochę oczyszczę, przybiorę, zaraz, zaraz —”

— W chwil kilka Młodzieniec był w niewielkiej izbie, — na środku której stał stół, zielonym pokryty sukmem. Za stołem siedział w mundurze wojskowym człowiek, — jeżeli człowiekiem nazwać można istotę napiętnowaną wyrazem zwierzęcia, płazu; — wysoki, barczysty, ogromne ręce, twarz blada, piegami pokryta cała, oczy zielone, a nad niemi rude strzępiaste brwi zawisły; wąsy krótkie i krótko strzyżone, jak szczotka, czerwone włosy jeżyły się na głowie. Przed nim leżały papiery porozrzucane, pistolet nabity z jednej, a nahajka z drugiej strony.

Przez okno wysokie światło przez kraty żywo wbiegało i oświecało wnętrze izby. —

Drzwi — z boku zamknięte, a przy nich dwóch stało w mundurach sinych żołnierzy, u każdego zamiast broni w ręku, była nahajka. — Na to wszystko z góry — ze ściany — z ram złotych spogląda oblicze — Cara! —

— Żandarm wstał, przystąpił do Młodzień-

ca, spojrział mu w oczy dziko — badawczo — i zapytał od ciągłego widać krzyku, schrypniętym głosem:

„Jak ty się nazywasz? —”

„Witold Topór." — Odpowiedział Młodzieniec.

„— Łżesz! — to twoje komedianckie nazwisko. — Z moich sprawek ja wiem, że ty

kniaź jesteś i to kniaź z Ruskiego-Zapadnego kraju, — mów jak się nazywasz? — czy słyszysz? — mów! —"

„— Ja księciem — i to ruskiego kraju niejestem, — jam człowiek z ludu nieznanego, jestem Polak i to z polskiego kraju. —"

„— Łzesz! — powiadam ci — łzesz ty łotrze! — Odpowiadaj na moje pytania! — Ty jesteś kniaź? — jak się nazywasz?" —

— Witold — milczy. —

Żandarm się zbliża. — „Kto z tobą był tu w Rosyi!?" —

— Witold się szyderczo uśmiecha i milczy. —

„Mów! — Czy ty niemy! — Czy ty ogłuchł!? — Mów, słyszysz?! Kto z tobą był? — Uko-

go bywałeś na wsi, w mieście, w Kijowie? — Bo ty padlec z Kijowa, — ja wiem! —" Witold milczy. —

Żandarm czerwienieje, to blednie, ze złości pieni się i trzęsie. —

„Co ty! kpisz sobie zemnie! — Długo cierpliwości mojej próbujesz! Mów psi synu! — bo źle będzie — mów! bo cię różgami zasiekę. —"

— „O! dobrze, dobrze, ja się tego nieulęknię, bij ile chcesz; — to twoja kacia powinność, — nadarmo się tylko w zapytania silisz i unosisz!..." — odparł Witold spokojnie. — Żandarm podskakuje z pięściami wściekły ku niemu. —

„Ach! ty buntowczyk! — sukin syn! — padlec! — hej! związać jemu ręce! —"

Żołnierze związali mu na tył ręce, — wtenczas żandarm uderza go kułakiem w twarz. — Witold zbladł jak ściana, wstrząsł się, z głowy zleciał mu bandaż i krew się strumieniem po twarzy polała; — pochwiał się i upadł na ziemię. —

Widokiem krwi i niemocy rozjuszony oprawca, przyskakuje i kopie go kilka razy nogą.

— „Ot! jaki ty kniaź! — jaki ty bohater! — jaki ty generał! — Ja Ciebie jak psa — nogami skopię — zabiję! — ot! co wy u mnie psy podłe znaczyście, — ha! masz że jeszcze raz! jeszcze raz! i jeszcze raz! —

Zpieniony, zziąjany ze złości, — zdyszany odwraca się do żołnierzy:

„No, podnieść Go!"

Żołnierze podnoszą i słabego, skrwawionego, drżącego, o ścianę opierają.

„A co! będziesz mówił teraz? — Widzisz, że ja nie żartuję! — Mów! mów, bo będzie gorzej z tobą! —" —

— Witoldowi usta konwulsyjnie zadrgały, dłużej milczeć już sił nie miał. —

— „Gorzej! — gorzej! Nic mi gorzej niebędzie! bo śmierć mi radością, z kajdan i upodlenia wyzwoleniem, a męczarnie, co krok mnie doń zbliżają. — Uderzyłeś mnie w twarz, kazawszy wpierw mi ręce związać! — Uderzyłeś mnie w twarz, mnie! w kajdany zakutego, — uderzyłeś mnie w twarz i nogami skopałeś, kiedy ja z ran umieram! — boś myślał, że mnie jak mówisz, kniaziowi i bohaterowi ubliżysz; — o! wiedźże potworze ludz-

kości! — że to nie hańba dla Polaka bezbronnego — być tak policzkowanym przez wroga!

— To są liście jego palmy męczeńskiej — świętej, to zaszczyt najwyższy dla więźnia tak cierpieć, — o! — większą to nawet chwałą i rozkosz, niż z orężem w rękę na polu bitwy polegnać, — to marzenie Syna Ojczyzny, by za Nią w katuszach ginąć, — umierać! — Lecz hańba narodowi temu! — który się mści i pastwi na bezbronych i umarłych, który żywych grzebie, — a z grobów trupy wpółzgniłe wyciąga, by się nad nimi naigrawać! — Ha! — lecz to nie dla ciebie błoto tej hańby, — ono wyżej bryzga i twoje czoło bez wstydu pomija, — ty! już nawet i

zhańbionym być niemożesz..."

— I niedokończył Witold, bo go żandarm rozwścieklony — nahajką po twarzy uderzył. — „Małczy! małczy! padlec! — Hej! Sołdaty — nahajek sotnię temu zuchwalcowi!...” —

— W kilka minut później — niesiono przez cichy korytarz jęczący ciężar na noszach, — te przede drzwiami celi postawiono, zdjęto z nich na ziemi położono bezwładnie ciało Witolda. —

— Żołnierze się oddalili. — Stary Kuźma

ręką otarł łzę jedne i drugą, wziął Młodzieńca w swe ramiona, zaniósł do celi i na łóżku położył.

— „Ach! Boże, zmiłuj się nad nim biednym! — ” —

Szepnął, — wyszedł z celi, zamknął ją i udał się po lekarza fortecy.

\* \* \*

— Kilka jak wieczność dni długich, — bo spędzonych na twardem więzieniu posłaniu, w niemocy, przeszły w życiu Witolda, zbliżając go coraz bliżej do grobu; — sen nawet dobry, długi, nie zstępował na znużoną powiekę. — A tak go pragnął Młodzieńiec! by choć na chwil kilka rozstać się ze światem, — z rozpaczliwymi myślami i z trawiącą go, czarną przeszłości gorączką.

W ciągu tych dni kilku i nocy miał jednak urozmaicenie jednostajności swej niedoli: w ścianie łóżku przyległej odzywało się jakby ręki ludzkiej niecierpliwie, to bojaźliwe uderzanie. — Baz, i drugi i trzeci, — to kilkanaście razem szybkich uderzeń, słabszych, — to znowu silniejsze; Witold słabą ręką w stro-

nę, skąd głos pochodził, uderzył parę razy w ścianę: uderzania przestały i nagle silniejszymi razy zakołatało, jakby uradowane z oczekiwanej odpowiedzi. „To sąsiad zapewne,” rzekł Witold do siebie, „tak musi jak ja gnić żywy, za to, że braci i wolność ukochał. —” —

— Pukania się powtarzały z jednej i z drugiej strony, z początku niewyraźne, bez ładu, widocznie niecierpliwione chęcią porozumienia się. — Wkrótce zaczęły się wyjaśniać przystanki pewne, uformowywać, i — w dni kilka i nocy, — ułożył się z uderzeń o ścianę i alfabet i mowa i przyjaźń dwóch zaściennych niewidomych więzienia przyjaciół. —

— Sąsiad Witolda opowiadał mu w tej kajdanami nauczonej mowie, że był tak jak on na polu bitwy schwytanym, — że tak jak jego — bili go, badali i — że lada chwilę śmierci oczekuje, że nic mu nie żal, tylko Ojczyzny, — tylko żony i dzieci i polskiego Nieba — powietrza; lecz nawzajem żąda od niego historii jego życia:

„Kto więc jesteś sąsiedzie? —”

„Jestem Witold Topór, wreszcie musisz

„wiedzieć o tem, kiedy wiesz, że na polu bitwy zostałem wzięty. —” — Odpukał Witold. —

SĄSIAD. „Nie, tylko przypuszczałem, — „lecz wiem o tobie.” —

WITOLD. „Skąd? — ” —

SĄSIAD. „W kraju słyszałem.” —

WITOLD. „Gdzie?” —

SĄSIAD. „W Kijowie byłem, — z Sybiru wróciłeś, ty się tak nie nazywasz, wiem że jesteś księżę, — jak twoje nazwisko prawdziwe? —”

WITOLD. „Niemam innego, nie pytaj mnie o to. —”

SĄSIAD. „Mieliśmy wiele wspólnych przyjaciół. —”

WITOLD. „Którzy?”

SĄSIAD. „Największa ilość z tobą była najprzód w spisku, — później za granicą i w boju. —”

WITOLD. „Którzy więc? —”

SĄSIAD. „Czy był z tobą hrabia Władysław „Sass? —”

WITOLD. „Zginął w bitwie. —”

SĄSIAD. Gdzie? bo mówiono, że jest za granicą? —”

WITOLD. „Jeszcze w kraju. —”

SĄSIAD. „Czy był Maryan Lubicz, — Klemens Kostka, — Poraj, — Jan Leliwa? —”

WITOLD. „(wahając się) Byli. —”

SĄSIAD. „Gdzież są? —”

WITOLD. „Jeden za granicą, — a drudzy niewiem, zdaje się w kraju. —”

SĄSIAD. „Czy miałeś relacje spiskowe — z księciem Romanem, — z hrabią Alexandrem, — z marszałkiem Kijowskim? —”

— Milczenie długie...

SĄSIAD. „Czemuż nieodpowiadasz? — Czyś tak dalece słaby? —”

„— On wie, że ja słaby!? — on wie, że ja na polu bitwy schwyty! — on wie że ja był badany i bity!?!... Oh! Boże! — miałeżby to być podstęp tych oprawców ohydny? — jeszcze tu w tej norze i w taki sposób! — Możem ja kogo z przyjaciół mych zgubił?!...”

— Witold zbladł z przerażenia — i pałającą głowę do słomy garści przyłożył.

Długo jeszcze pukanie się przedłużało; lecz Witold nieodpowiadał, — te w końcu ustało — i znowu cisza zaległa puste samotnej celi kąty. —

— Spokój zeszedł wkrótce w skołataną duszę i Witold usnął snem lekkim, — marzeniem raczej. —

— Godzin parę tak drzemał, gdy go przebudził odgłos daleki płaczu kobiecego, — krzyku, jęku, za całą po korytarzu rozchodzącego się. — Krzyk się przedłużał, niknąc coraz w głębi murów. — Witold się podniósł, — jakby głosem znajomym z serca wyrwanym przerażony, szcęknięły na nogach kajdany, stanął na podłodze i zbliżył się ku okienku w drzwiach wykutem; echo głosu jeszcze dochodziło, choć słabe, drżące, lecz wyraźne:

„Oh! Boże! mój Boże! jak mnie zbili — oh! jak mnie zbili... Cóż oni chcą odemnie! — Zabijcie mnie — lecz nie męczcie tak bardzo... oh! oh! Boże, Boże zlituj się nade mną...”

„Cóż to jest!? cóż to jest!? — to jej głos! — Jadwigo! Jadwigo — ty tu! w tem piekle! puszczajże mnie!...”

— Ryknął w rozpacz Witold i — targnąw-

szy silnie kratą drzwi — wstrząsnął niemi z łoskotem. —

„— Cicho, — cicho, — Panie! — cicho.” — kładąc rękę na ustach, przerwał przestraszony stary Kuźma. — „Zlituj się cicho! — cicho, — bo cię oni obijają i do lochu wrzucą, a tam wilgoć, noc i robactwo zimne pełza...”, cicho, — cicho. —”

„Cóż to jest Kuźmo? — Co znaczy ten głos? —” — pytał żandarma, ciszej Młodzieniec. —

„A — to mordują biedną dziewczynę, — pytają się ją, tak jak ciebie się pytali, — ach Panie! jaka ona ładna i młoda, — biedna, — nieszczęśliwa...”

„Czy niewiesz, o co się ją pytają?...”

„— Nie wiem, bo ja tam nie chodzę, lecz gdy ją na noszach wynieśli skrwawioną, — półnagą, — zbitą, — to jakieś imię, o które się ją pytano, wciąż wymawiała. —”



— „Jakież to imię — powiedz Kuźmo!?”

„O nie wiem, nie pamiętam, jak drugi raz posłyszę, to ci Panie powiem, a teraz do celi idź, — cicho, — cicho, — nadchodzi dozorca. —”

— Witold odstał od okienka, i słyszał odchodząc, jak stary żołnierz mruczał pod siwym wąsem przeciwko katów, oprawców — bez serca, sumienia, słowa przekleństwa w swoim narzeczu. —

— „Jak to, — tu Jadwiga?” — rzekł do siebie Młodzieniec, chodząc gwałtownie po izbie. — „Jak to, — to ona tu!? — Po to nas w drodze rozłączyli, żebyśmy będąc pod jednym więzienia dachem niewiedzieli o sobie i tej osłody duszy niemieli, — żebyśmy ciosy wspólnych udęczeń nie przeczuwali, niepodzielali i wiedząc się tak bliskimi, odwagi więcej ku śmierci niecierpali! „— O! bo to ona, — to ona! — to jej głos! — Tak, tak! niesłyszałem przedtem jej krzyku bóleści, jej płaczu; lecz mi serce mówi że to ona: bo na ten głos przebudziło się w mych piersiach, to drugie jej echo, co w nich zamieszkało, a którymi ciągle o niej, we śnie i na jawie tonami pieśni rajszych przemawia, to ona! — to ona! — i niemódcz ją ratować! — Wyrwać ze szponów tych dzikich zwierząt i zginać samemu, lecz — pomścić ją! — O! Boże! to już nadto bóleści

na siły człowiecze! — Boże! — ratuj mnie, ratuj!...”

— I chodził po celi rwąc sobie z rozpaczony włosy na głowie zbolanej, poranionej; to łamiąc ręce i szarpiąc odzienie. Jęczał przeraźliwie, pasując się z cierpieniem, a tym bóleści wyrazom wtórowały dziką, — brzęczącą muzyką, rwane w szybkim, gorączkowym chodzie na nogach, kajdany. Za każdym stąpnieniem gwałtownem — kilka kropel krwi czarnej spadało na podłogę i w końcu cała skropiona nią była. —

— Znowu dni kilka przeszło — okropnych, rozpaczliwych, szalonych dla więźnia. — Co dzień o jednej porze budził go, czy ze snu, czy z gorzkich dum niewoli, ten płacz niewieści i wyciskał mu łzy — bólu, — rozpaczony, — szalony żądzy zemsty. — — Nakoniec — przestano zapewne znęcać się nad biedną istotą, bo już drugi dzień mija, a krzyku i jęku niesłychać; i lżej się stało na sercu i duszy znękanemu więźniowi. —

— Już szarzało — przez wysokie okno, różowym odbłyskiem słońce na ścianie kratę rysowało, żegnając tem odbiciem jeszcze wię-

zów — samotnego celi mieszkańca. — Cichość podziemna owijała się w płaszcz wieczoru, zakrywając oczy dziennej bóleści...

— Witold upadł na posłanie omdlały i zdawało mu się, że zasnął i że na jawie był; bo wszystkie przedmioty otaczające go widział — istot i dzban, suchary — i siebie — i ściany do koła. — Wprost przed nim, w szarzącym świetle wieczora, ujrzał z drzwi czarnych więzienia, wychodzące dwie postacie smutne, jakby w żalobie. — Od jaśniejących ich twarzy światło w celi się rozlało. Zbliżyły się ku niemu. — Twarz się jednej nachyliła nad palającym jego czołem i w niej rysy, piękne pięknoscią nadświatnych przestrzeni mieszkańców, ukazały mu postać Matki — Matki z zimna i głodu, w jego objęciach skonałej! —...

— Ona, zniżyła się i ucałowała go w czoło. Za rękę trzymała — drugą postać, — ta, promiennej białosci swą dłonią wzięła go za rękę i ścisnęła ją: to Ojciec Szymon! — nachylił się nad nim i spojrzał mu daleko, głęboko w duszę, — oh! jak dobrze, jak czule. — „Czyś mi przebaczył Ojczce, losu twej córki?” —

"Przebaczam Ci i dziękuję — wszak to los każdej Polki!..."  
Cichem balsamicznym tchnieniem odpowiedziała postać Ojca Szymona.  
— Postacie — zniknąć w cieniach poczęły; Witoldowi tęskno się w duszy zrobiło i zawołał: „Matko! Matko! czy już mnie opuszczasz, tak prędko, nazawsze!? —” —  
„Czekam Cię Synu, wraz z Nią — tam! — rzekła postać, podnosząc rękę do góry i — znikły...  
— Witold się przebudził.  
„— Czy to sen, — marzenie? — czy dusza moja może na jawie opuścić me ciało na chwilkę, dając mi pamięć rzeczywistą przeszłości?...Oh! to nie sen, to tchnienie niebiańskich stref, drgające w powietrzu do koła mnie; ten pocałunek ja go jeszcze czuję, tu, — tu na czole; to skonu przepowiednia, — dusza przeczuwa swobodę i rwie się niecierpliwa, tam — do nich!..."  
— Wtem odgłos dzwonka cienki, srebrny — ocucił go zupełnie z sennego marzenia. — Dźwięk zdała zaledwie dosłyszany, zbliżał się coraz wyraźniej, rozchodząc się po pu-

stych ścianach. Nakoniec za dzwonkiem pogonił szelest stąpań — powolnych, cichych, spokojnych; — zbliżył się do drzwi celi, — przeszedł, osłabł i zniknął w ciemnych głębiach korytarza.  
— „Co to jest Kuźmo!?” — zapytał — głośno, żywo Witold żandarma, podskoczywszy ku okienku. —  
„Cicho, — Panie! — cicho, to ksiądz z Panem Bogiem przeszedł. —” Żegnając się po trzykroć — odpowiedział stary żołnierz. —  
— „Do kogóż, to ksiądz poszedł —? proszę Cię powiedz! —” —  
— „Ach! mój dobry Panie, to tę biedną dziewczynę, — Pan wie, zbójce mordowali, — bili, — mordowali, — aż zamordowali na śmierć; — on do niej poszedł. — Cicho, — cicho Panie! — nadchodzą...”  
— Odchodząc ode drzwi, zadrżał Witold do głębi duszy; serce nagle bić mu w piersiach przestało, — w oczach mu się ognisto, jak od błyskawicy świętego przelotu, zrobiło, — to znowu, gwałtownie bić się serce zaczęło i od blasku ściemniło mu się do koła, — Po zbolełam

bladem jego licu szereg długi potoczył się łez i łkając zawołał:  
„— Bohdanko moja! ja Ciebie młodą, piękną w przepaść czarną śmierci — ma miłością bezmyślną wepchnąłem, — Jadwigo! — i ty już umierasz, — gdyś żyć zaledwie zaczęła! — I ty płci twej, narodu ozdoba, — umierasz na więziennym barłogu różgami zabita!... Oh! Boże! i Ty tych krzywd krwawych niepomścisz?!...  
Ach! ja żyć już nie chcę — dłużej — Panie! Panie śmierci!..."  
— W tej chwili klucz zgrzytnął w zamku, drzwi skrzypnęły przeraźliwie, złowrogo w zardzewiałych zawiasach i — roztwały się szeroko, dając wniście kilku ludziom. — Witold się odwrócił. — Przez okno korytarza światło wpadało do celi i ukazało mu — świecące się kaski, mundury, bagnety wchodzących żołnierzy. —  
— Na środek celi oficer w kasku na głowie, z gołym w rękę pałaszem, wystąpił, zza nadrza drżącą ręką wydobyl papier, — roztwiera go i stłumionym czyta głosem:  
— „Xiążę Witold Gedymin, — przezwany Topór, — rossyjski niewierny poddany, — za bunt

i zdradę — wolą Imperatora — skazany jest na śmierć przez powieszenie! —” —  
— Skończywszy, — oficer zbliżył się do Młodzieńca. —  
— Czy nie masz mi Pan co do polecenia? — „radbym ci służyć. —”  
— „Nic” — odrzekł Witold spokojnie, — „nie, — prócz prośby, by się to prędzej

skończyło! —" —

„Bywaj zdrów — poczciwy stary Kuźmo! „pamiętaj w twych modlitwach o mnie," — rzekł Witold, całując w twarz starego. — „A teraz chodźmy, — jestem gotów. — "

— Gdy z celi wychodzili — z cieniów korytarza — rozległ się znowu odgłos dzwonka i ukazała się poważna postać mnicha, w kapucyńskim stroju, — a przed nim w białej komży chłopczyk szedł z dzwoneczkiem w rękę.

— Oficer i żołnierze wstrzymali się, — Witold głowę uchylił.

„Ten człowiek, — na śmierć jest prowadzonym w tej chwili, — możesz mu udzielić — twe błogosławieństwo. —" —

Zbliżywszy się do mnicha, rzekł oficer. — "O! Panie Zastępów! — jeszcze jedna ofia-

ra..." — Szepnął z cicha starzec, podnosząc oczy ku niebu, — w których się już błękitniły niebiańskiej siedziby przezrocza...

„Człowiecze, — Chrześciance, — Synu! — za chwilę staniesz przed Ojcem Twym. — przyjm słowa pociechy, — wiary, — módl się!..." przystępując ku Witoldowi — przemówił kapłan. —

— „Jam Polak Ojcie! — to dusza moja rozpromienia się bliskością śmierci, już się ja czuję — w objęciach dusz ukochanych, — co na mnie u wrót niebieskich czekają, — nademną jasność nieśmiertelności — woła mnie, — wabi obietnicą spokoju, — rozkoszy, — zapomnienia! — Bo — jam wszystko utracił: chwałę — swobodę — miłość — życie, — nawet pamięć nieszczęść!... O! to mi śpieszno, — czas mnie nagli — Ojcie, — jam kochał w życiu — na ziemi, Ojczyznę, — Matkę i jeszcze jedną istotę... Wszystkie straciłem, — nawet i tę ostatnią, tu — tu — przed chwilą... to był jej pierścień, dziewiczych, anielskich, przezczystych przyrzeczeń, — miłości zakładem, — weź go i oddaj pierwszej, którą spotkasz, sierocie biednej — bez chleba. — Módl się

za Nią, — za nas. — Ojcie! — wysłuchaj mej spowiedzi! — wprowadź mnie w grobowe wrota wieczności." — „Synu! — ty jesteś — Witold? —"

„Tak." —

„Ona mi o Tobie mówiła, — dusza jej już w nieśmiertelnych przestrzeniach wieczności, — Ona Cię czeka tam! Idź Synu w Bogu! — ja Ciebie słuchać spowiedzi nie będę, — o! bo takich jak Ty — spowiedzi się nie słucha, — bo takim już dawno przebaczone, o! bo na takich w rozwartych niebios podwojach — chóry anielskie i święci Pańscy czekają! — Ponad tobą — palma męczeństwa i światło niebieskie promienną gloriolą zawisło!"

— „— Ojcie! — wszak grzeszę, — wszak pragnę zbyt gorąco śmierci. — Czy Bóg przebacza brak męczeńskiej cierpliwości?..." —

— „Idź Synu w Bogu!... idź w podwoje wiekuistej chwały!... — uklęknij... — Witold uklękł. —

— Ostatni płomyk zachodu — wyrzał przez kratę okna, — rozlał się złotem światłem — w cieniach spleśniałych krwią murów i opromienił nadziemskim światłokregiem twarz starca, ku niebu wzniesioną, w zachwycie dusz świętych. —

Z pod habitu — mignęło świetnym blaskiem złote do koła — święte naczynie. — Kapłan drżącą ręką przeżegnał Młodzieńca, — otworzył złotą puszkę, — dobył z niej Boski zakład zbawienia i głosem czystym, dźwięcznym zawołał:

„Oto jest, Ciało i Krew Zbawiciela — niech Cię prowadzi do Żywota wiecznego!..."

„Amen! —" Powtórzył Witold, — powtórzyło i echo po dalekich korytarzach...

.....

— Witold wstał, — twarz jego jaśniała czystym jak słońce blaskiem, choć na licu

bladem krwawe dzieje wyryte męczeństwa...

\* \* \*

„Już go niema —” — rzekł stary Kuźma, wchodząc do pustej celi. — Już nie wróci. —  
— I duże dwie łzy, tocząc się po zmarszczkach twarzy, — spadły i utonęły w  
siwych wąsach żołnierza. —

## EPILOG.

Pękły struny — smutnej pieśni, — rdzą z łez zgryzione. — Zgłuchły dźwięki  
śmiertelnego dzwonu, — serce w nim pękło; — serce z głazu rozleciało się w  
kawalki. —

Jad się z niebios sączył i po kropli spadał w łono polskiej ziemi i — otwarła  
się w niej rana, czarną krwią zapiekła. —

Pieśń z przebitej piersi bliznę jątrzy, i stała ona niezgłębiona jako otchłań  
piekieł, — gryząca, — szalona jako rozpacz bez nadziei i — okropna jako noc bez  
świtu!... —

Nocy cienie powieszwały się na przestworach: nieme, blade, drżące — i byłem  
zawieszon, w myśli mej, objęciu — po nad ciemności i krwawych widm krainą. —  
Podemną kruki czarne kracząc, zataczały

koła, — zniżały się ku ceniom ziemi, — to siadały chmurną gromadą na  
skrzypiącem drzewcu, z którego dziś — trup świeżo spadł. —

Od powiewu skrzydeł ich i wołania głodu — chwieje się stryczek zerwany i — mgły  
się w około falują. —

Myśli moja! — rozpędź cienie, — chmury, — daj mi promień z gwiazd promieni jeden  
wieszczy, — bym wyczytać mógł z chaosu — ducha dzieje — po rozłące z ciała  
życiem! —

Czyż się z ciała śmiercią — kończy pieśń boleści wielkich?...

Czyż nam — ludziom na tej ziemi łez i grobów — nie jest dano przejrzeć, — odczuć  
ducha cierpień nieśmiertelnych!?... —

I oto jestem ponad rowem, chwastami i bodiakami zarosłym, — wilgoć nocy spływa —  
szklaną rosą w dno szerokie fosy, — po niej mogiłki — jedna za drugą w trawy  
porosłe; — jedna czarna świeżą ziemią tylko co wysypana, — znać grobem wisielca:  
bo pod szubienicą — rozgrzebana do połowy kruków pazurami. —

Ktoś o myśl mą, w eolowe dźwięki nastrojona, — trącił skrzydłem z rajskich  
tchnień w przelocie..... — Przeszedł biały cień —

powiewny, — cichy cień dziewicy, — jak mgła z łez wysnuta i — ponad świeżą  
wstrzymał się mogiłą. —

Rozwarło się wewnątrz usypanej ziemi i — wyszło zeń przejrzyste ducha ciało. — Z  
obłon śnieżnych dwa splotły się ramiona w około niego, — dwa cienie razem się  
spożyły duchów wiekiustą spójnią i — wzleciały ponad ziemię, — po nademną, —  
ponad gwiazdy!..... —

I słyszałem z gwiazd strącane archanielskich pieśni dźwięki. — I — słyszałem Boga  
głos, — stu gromów echem łamiący się po światach. —

Z czterech stron świata wicher zawył i trąbę się kurzu w górze — ponad ziemią  
zakreślił! — Mglisto się stało na niebie i ziemi do koła. —

To z mogił przeszłości — tchnieniem Jehowy — prochy się na świat wywiały, —  
prochy z bohaterów mogił. —

I długo tak ciemno jak w chaosie — w myśli mej było, — duszno, — ogniecie, — aż się rozwidniać zaczęło. —  
Z prochów zwichrzonych, zamętu — z gwiazd promieni i niebios piorunnych błyskawic — zwiły się kłęby, — gromady fałdziste — po-

wiewnych szat, — zbroic, — postaci splątane szeregi i — schodziły one — po schodach uwitych z gwiazd i księżyca promieni — ku ziemi, i pierwszy — wielki — z długą rozczochaną białą brodą — stanął na wilgotnej grobu ziemi. —  
Wzniósł czoło wyniosłe, laurem strojne i dwoma sięgającymi niebios promieniami: „Chwała Ci, rycerzu Wolności, — Ojczyzny męczennicy synu!...” rzekł, z poza chmur wydobyty uraganu głosem i — zdjawszy z siwego czoła wieniec promienisty, — złożył go na mogile. — Na liściach wieńca — imię „Mojżesz” gwiazdzistemi jaśniało zgłoski. —  
Proroczy duch przeszedł, — w nocy cieniach tajemniczych niknąc, — a za nim inne postacie laurem uwieńczone zstępowały na ziemię, — powtarzając słowa poprzednie. —

Od przejścia natłoku — ściemniło się do koła, — świetność jakaś błyskawiczna — długo myśl mą oślepiła, — aż znowu rozjaśniać się zaczęło. —  
W dali, po falach rzeki, w księżycowych igrających blaskach, — to po gwiazd promieniach i obłoków biegu, — w około mnie szum

zaświatnych postaci, uchodzących świetną gromadą — na dalekie świata widnokręgi. —

Przedemną na mogile, — ku niebiosom obelisk się piętrzy, — z laurowych zbudowany wieńców. — Na każdym wieńcu gwiazda świeci, a w jej wnętrzu żarzy się nadziejskim blaskiem imię — bohaterskie, — wielkie, — na którego skroni wieki pamięć swą złożyły. —  
Trzystu gwiazd światłością, — Termopilowe palily się imiona. — U samych niebios zaś podwoi — jedna gwiazda bardziej od innych błyszczła, — w jej łonie imię Kościuszki płonęło. —

.....  
A tam — po ziemi, — po szumiących trawach mogił, — otulone przesuwają się dwa cienie — ciche, — smutne, — powolne.  
Cóż to? — o! dusze, cierpieniem rozkochane, — wróciłyście z niebios prześwieatnych przestworów !? — Wróciłyście z dziedziny miłości wiecznej, — pieśni wiecznej, — rozkoszy wiecznej?!  
— Znać milszemi wam jęki rozpaczy, — echa westchnień ciężkich i — o pomstę wołania braci waszych. —  
Nie dla Polskiej znać duszy — rajskich uciech zdroje; — nie dla Polskiej znać duszy

— spokoju nieśmiertelne życie; — kołyszcie się więc i przelatujcie, ukochane bohaterskie dusze, — ponad ziemią łez i cierpień, — krwi i mogił waszych... aż dopóki się nad niapotępienia noc nie rozjaśni. —

\* \* \*

Niebo zajaśniało rozswitern, — złote płomyki słońca rozbiegły się po chmurkach, po nieba lazurze, po rzeki falach. —  
Wszystko znikło, — pierzchno przedednia rozpaczliwą jasnością i — gwiazdy pogasły i — obelisk się zwałił i — duchy się rozwiały, — a tylko te słowa pozostały z ech tej nocy — na obłokach, — na falach i po mogiłach, w cichym dysząc wietrze:  
„Chwała Ci rycerzu Wolności, Ojczyzny męczennicy synu...” —

Finis